№ 10. Warszawa, dnia 6 Marca (22 Lutego) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

MY I „BIURO WYWIADOWCZE.“

Wrzawa rozpraw parlamentarnych i dziennikarskich, wywołana szeregiem ustaw wyjątkowych przeciwko polakom w Prusach, zagłuszyła zupełnie wszelkie inne kwestye a między niemi także i echa procesu, wytoczonego b. kapitanowi duńskiemu Sarauwowi o zdradę stanu. Tymczasem proces ten z kilku względów zasługuje na uwagę naszą. Przedewszystkiem jest on wymowną ilustracyą trwałości i prawidłowości stosunków europejskich, zwłaszcza francusko-niemieckich. Od lat dziesięciu istnieje w Paryżu „Biuro wywiadowcze,“ rozporządzające znacznymi środkami pieniężnymi i posiadające w różnych punktach Europy a głównie w Niemczech agentów drogo płatnych, obowiązanych wykradać dlań wszelkie tajemnice wojskowe. Jednym z takich agentów miał być Kraszewski, a należał do nich także Sarauw. Pobierał on 5 do 6.000 franków miesięcznie, utrzymywał własnych korespondentów, jak zaś dobrze i szybko obsługiwał „Biuro“ — przekona następujący fakt. W r. 1882 zażądało ono od niego 2 i 11 rozdziału planu mobilizacyi — w parę tygodni już otrzymało materyał. Niezadowolone wszakże poleciło mu uzupełnić posyłkę — i znowu w parę tygodni odebrało ją już według wymagań. Sarauw miał zdrajców tak blisko stojących źródła, że dwa odpisy, dołączone do aktów procesu, oprócz kilku błędów ortograficznych nie odstępują w niczem od oryginałów.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że „Biuro wywiadowcze“ pozostaje pod zawiadywaniem generalnego sztabu, a więc i rządu francuskiego. Widzimy przeto, jak mimo pozornego spokoju odbywa się robota, obliczona na przyszłe starcie Niemiec z Francyą. Rzeczpospolita, która przez usta urzędowe wypiera się wszelkich zamiarów odwetu, ciągle o nim myśli, a nie chcąc być zaskoczona w niewiadomości, podkopami śledzi zbrojownię Niemiec. Nie obawia się ona kompromitacyi i nie skąpi ofiar pieniężnych.

Obfitość zdrajców, bez których agenci nie spełniliby swego zadania, jest objawem charakterystycznym i dla Niemiec bardzo pouczającym. „Jak mógł Sarauw— pyta też jedna z gazet niemieckich — tak długo prowadzić swoją zdradziecką działalność? Jak wogóle objaśnić, że on tak szybko i dokładnie mógł zadość uczynić wszelkim żądaniom „Biura“ paryskiego, odnoszącym się do najrozmaitszych przedmiotów wojskowych? Są to pytania bolesne a jeszcze bolesniejszem to, że na nie niepodobna dać odpowiedzi żadnej lub tylko niedostateczną.“ Bynajmniej. Odpowiedź będzie prostą i wystarczającą, jeśli przyznamy, że równolegle z wzrostem militarnym Niemcy cofnęły się moralnie. System, który prawie całkiem z życia zbiorowego wypędził etykę, musi wywierać wpływy demoralizujące i rozszerzać granice czynów dozwolonych po za słuszną miarę. Wiadomo, że od łyczka idzie się do rzemyczka i koniczka. Tkanina moralności, rozpruta w jednym końcu, porze się dalej. Naród czerpie zasady postępowania nietylko z katechizmów i kodeksów, lecz także z wysokich stanowisk, z ust ludzi, którzy nim kierują. I czegoż on się uczy w Niemczech? Tego, że każdy środek pożyteczny dla egoizmu jest godziwym.

Moglibyśmy wszakże i na to zepsucie patrzeć obojętnie zdaleka, gdyby proces Sarauwa nie dotknął nas bezpośrednio i to bardzo nie w porę. Wiemy już, że pozostaje on w ścisłym związku ze sprawą Kraszewskiego; śledztwo sądowe wykazało przytem, że na czele „Biura wywiadowczego“ stoi polak Kosiłowski. I my nie zapieramy się sympatyi dla pognębionej Francyi, ale doprawdy nie widzimy ani interesu narodowego, ani godności w przyjmowaniu u niej służby szpiegowskiej, chociażby to szpiegowstwo dotyczyło Niemiec. Przeciwnie, służbą taką możemy tylko skrzywdzić się politycznie i moralnie. Zarówno ks. Bismark, jak i jego stronnicy wykłuwają nam ciągle oczy faktami, ukazującymi polaków wszędzie, gdzie tylko stoi jakiś warsztat wrogi niemcom. Łatwo pojąć, jak tego rodzaju fakty nadają się obecnie do usprawiedliwienia praw wyjątkowych. Kosiłowski przejść musiał przez wszystkie gazety niemieckie nam nieprzyjazne z tabliczką szpiega.

Daleko bolesniej rani nas ta tabliczka, zawieszona na piersiach człowieka, którego szanujemy i któremu tyle zawdzięczamy — Kraszewskiego. „Ten bohater swojego narodu — woła monachijska *Allg. Zeitung* — ten pisarz i poeta wysoce czczony, bogato obsypany darami szczęścia, korzysta przez dziesiątki lat z gościnności Niemiec i pomimo to najmuje się za szpiega francuskiego w „Biurze“ paryskiem i pobiera dostatnią pensyę za swoje zdrady. Jego ziomkowie będą naturalnie starali się obmyć go z winy i obronić, ale jeżeli w Niemczech żywiono jakiekolwiek sympatye dla tego człowieka, to teraz muszą one całkiem zniknąć.“

Wierzymy dotąd Kraszewskiemu, że w całą tę sprawę uwikłał się bezwiednie; pomimo to jakże przykrem jest dla nas piętnowanie niemiecką ręką najzasłużeńszego z żyjących polskiego pisarza! Gdy uzyskał urlop, obiegała dzienniki z pewnem prawdopodobieństwem wieść, że dostanie całkiem ułaskawiony; dziś możliwość ta niemal upadła, gdyż proces Sa-

rauwa obudził na nawo zarzuty i namiętności. Rzecz to wszakże skończona i musimy się z nią pogodzić.

Nieskończoną natomiast jest rola p. Kosiłowskiego, naczelnika „Biura wywiadowczego.“ Jeżeli ten pan sfrancuził się i z polskiego pochodzenia zachował sobie tylko nazwisko, nie stajemy mu na drodze z żadną uwagą lub wymówką. Ale jeżeli pozostał polakiem życzliwym dla swego narodu, niech zejdzie ze stanowiska, które jemu przynosi dochód, ale nam nie przynosi ani zaszczytu, ani korzyści. Ofiara ta nawet nie kosztowałaby go prawdopodobnie nic, gdyż bliskie stosunki z rządem francuskim pozwoliłyby mu zająć inną, równie korzystną posadę.

Rzuciliśmy zapewne groch na ścianę. Głos nasz nie dojdzie do p. Kosiłowskiego, a inne pisma go nie powtórzą. Niektóre nawet zaliczą szan. „wywiadowcę“ do najlepszych patryotów. Ale trudno. Jak wiadomo, jest siła, z którą daremnie walczyli bogowie — a my mielibyśmy ją pokonać? Nie wiedza — jak twierdził Bacon — ale głupota — to potęga!

ZWROT RELIGIJNY W CZASACH OBECNYCH.

We Francyi sądownictwo śledcze przyjęło za regułę poszukiwanie w zawikłanych sprawach kryminalnych kobiety. Gdy wątka dojść trudno — *cherchez la femme!* Weszło to nawet w przysłowie i reguła ta tak jest przestrzeganą ściśle, że poszukiwanie palca niewieściego we wszystkiem, co podpada pod kodeks karny, dochodzi niekiedy do śmieszności. Coś podobnego dzieje się obecnie w zakresie politycznym z ks. Bismarkiem. W każdem zawikłaniu — zwłaszcza gdy ono ukazuje w perspektywie rezultaty ujemne — upatrują palec Bismarka. Gdy Francya wdała się w państwie tunetańskiem w wojnę z niestawiającym jej wojskom czoła krumirami, całe dziennikarstwo opozycyjne brzmiało Bismarkiem; gdy następnie zawiązała się wojna w Tonkinie i ściągnęła interwencyę Chin, na Bismarka odpowiedzialność zwalano i przedstawiano Ferrego, jako męża stanu, zasięgającego rad w Berlinie. Ten sam palec Anglię w sprawy egipskie uwikłał i Francyę do sromotnego umycia od sprawy tej rąk doprowadził; Włochów Tripolisem, niby szatan Chrystusa na górze, kusi i na morze Czerwone ich wysyła; palec ów Austryę pchnął do popchnięcia serbów na bułgarów i w Konstantynopolu sułtana bałamuci. Wszędzie i we wszystkiem on i on — palec Bismarka wtrąca się, knuje, wichrzy, plagi sprowadza, klęskami zagraża i do tego już doszło, że jak w zakresie kryminalnym *cherchez la femme*, tak w zakresie politycznym *cherchez Bismark* się mówi.

Byłoby to śmiesznem, gdyby w tem do pewnego stopnia racya nie tkwiła — racya wielce podobna do tej, dzięki ktorej muzykanci w koncercie orkiestralnym stosują się do batuty kapelmistrza. Że ks. Bismark jest „do pewnego stopnia“ kapelmistrzem w koncercie europejskim, temu chyba przeczyć nie można. Czyn się dokonał. Szlachcic pomorski zajął stanowisko pierwszorzędne, na które wprowadziła go o tyle wartość osobista, o ile zbieg okoliczności. Niedołęstwo przeciwników przyczyniło się potężnie do wyniesienia w Europie na dyrektora politycznego męża rezolutnego, opatrzonego w łokcie twarde i nie znającego skrupułów żadnych. Losy za przeciwnika głównego dały mu pęcherz, w osobie Napoleona III. Z łatwością przyszło mu przeciwnika takiego wywrócić pod Sadową i pod Sedanem i postawić się tak, że go wszyscy widzą, słyszą, podziwiają i według niego się nastrajają. Owóż nastrój ów jest to ten palec we wszystkiem i wszędzie upatrywany. Mimowoli tu mężowie stanu, ówdzie śmiertelnicy zwyczajni przybierają ton, a raczej tony, jakimi on się odzywa. Jedni z nim do spółki tryumfują i brutalizują, drudzy na temat łokci jego filozofują, inni znów w duchu dawanych przezeń skazówek i poruszanych spraw, sprawy własne przeprowadzać usiłują. Dla przypatrującego się z boku spostrzegacza jest to widowisko ciekawe. Za pamięci mojej, przed mojemi oczami widowisk tego rodzaju — w rozmiarach mniejszych — przesunęło się kilka. Byłem świadkiem nastrajania się wedle Piusa IX, wedle Kossuta, wedle Garibaldiego, wedle Napoleona III; w czasach ostatnich nastąpił nastrój wedle Bismarka. W duchu dawanych przezeń skazówek i poruszanych spraw występują objawy, których widok zdziwienie niekiedy sprawia.

Do objawów tego rodzaju należy pomiędzy innemi zwrot religijny, o którym słów kilka powiedzieć zamierzamy.

Słabnąca widocznie żarliwość religijna nie dawała się do upadku Napoleona III rozbudzić żadnymi środkami, do jakich się uciekano zarówno w kościele katolickim, jak w protestanckim. Nadaremnie Rzym nowe tworzył dogmaty i płodził reklamy; nadaremnie konsystorze protestanckie w głowy zachodziły nad wynajdywaniem sposobów wskrzeszenia ducha wiary. Indyferentyzm ogólny pogłębiał się. Wierni wiernymi na sposób Pascalowski pozostawali: wierzyli dla tego, że nie byli pewni, czy to co pomoże, pewni jednak byli, że nie zaszkodzi. Obojętność opuklerzała się coraz to mocniej, nie widząc żadnej dobrej racyi zmieniania stanowiska, na którem zaczepianą nie była. Wyznania religijne nieprześladowane pozostawały w stanie spokoju, martwotą trącącego, nie mogąc same z siebie wyprowadzić ruchu i zobojętnionego rozwojem idej postępowych, którym zgoła o wywieranie na wierzenia nacisku nie chodziło. Pozytywizm przyznawał się do niewiedzy w tej kwestyi; rządy zaś w zaczepianiu jej nie widziały nic takiego, coby się dało z interesami bieżącymi pogodzić, lub rokowało jakąś na przyszłość korzyść. I w takiej to chwili zagrzmiał Kulturkampf. Kościół katolicki, który się na reklamy wyzywające nadaremnie wysilał, walki pragnął, prześladowania pożądał, ruchu potrzebował, powołany został na gody, nie pozostawiające nic do życzenia.

W wyskoku tym trudno nie widzieć grubego anachronizmu, którego wskrzeszenie byłoby zdumiewająco niepojętem, gdyby nie to, że twórca nowego cesarstwa niemieckiego jest duszą i ciałem anachronizmu wcieleniem. Postać to żywcem z wieków dawno minionych w wiek dziewiętnasty przeniesiona i w męża stanu przedzierzgnięta. Hasła dawne „zabierać i ujarzmiać“ huczą w duszy jego i wytykają mu drogę polityczną. Stąd poszły: pomiatanie parlamentem, nadawanie sobie tonów rycerskich, wywoływanie „krwi i żelaza,“ stawianie „siły nad prawem“ i czepianie się kościoła katolickiego, zgoła mu niezawadzającego. To ostatnie, co się katolików polskich tyczy, nastąpiło w chwili, kiedy arcybiskup gnieźnieński, ks. Ledóchowski usilnie seminarya germanizował. Że było to błędem, dowodów na to daleko szukać nie potrzeba, znajdują się bowiem one w ostatnim polityczno-kościelnym parlamentowi przedstawionym projekcie, który jest przekreśleniem lat temu trzynaście

---

POEZYA.

JEHUDA-BEN-HALEWI *).

H. Heinego.

I.

„Niech mi język przywrze w krtani,
Niech mi uschnie prawa ręka —
Jeśli kiedy z mej pamięci
Stracę ciebie, Jeruzalem!“

Codzień w głowie mojej słyszę
Te wyrazy i ich dźwięki,
Jakbym słyszał męskich głosów,
Tęskną nutę śpiewu psalmów.

I wyraźnie widzę nieraz,
Rzęd bród długich, kędzierzawych...
Któryż z was jest senno widma,
Ów Jehuda-ben-Halewi?

Duchy szybko przemykają
I gdzieś nikną, przerażone
Głosem szorstkim ziemskiej mowy...
Lecz — jam poznał go odrazu!

Jam go poznał po tęsknocie
Czoła dumnie wzniesionego;
Po wyrazie bolejącym
Ócz, utkwionych w moje oczy...

A szczególniej po uśmiechu
Zagadkowym, tajemniczym
Ust — złożonych w rytm cudownie —
Znanych tylko u poetów.

Czas uchodzi orlim lotem.
Od urodzin już Jehudy
Ben-Halewi ulecialo
Lat siedemset i pięćdziesiąt.

Miejscem przyjścia na świat wieszcza,
Był w Kastylii gród Toledo —
Kędy chłopię kołysały
Złotonośne fale Tagu.

O uprawie jego ducha
Wczas pomyślał ścisły rodzic
A rozpoczął z nim naukę
Księgą boską, zwaną *Tora.*

Do czytania jej on wybrał
Ów pierwotny tekst chaldejski,
W którem pismo piękne, stare,
Symboliczne, kwadratowe,

Wywodzi się z pacholęctwa
Jeszcze świata: i dlatego
Do dziecinnych też umysłów
Tak przyjaźnie się uśmiecha.

Ten prastary tekst, za ojcem,
Czytał chłopiec, każde słowo
Wyśpiewując... obyczajem
Z dawien dawna *Tropp* nazwanym;

Nader mile on bełkotał
Wtedy dźwięki te gardłowe,
I na podobieństwo ptaka
Wydobywał gładkie trele.

Także Targum Onkelosa *)
Napisane w tem narzeczu

*) Najznakomitszy z poetów i tłomaczów hebrajskich w siódmym okresie żydowskiej literatury (1204—1492), żyjący w XIII wieku. Był synem Abrahama Halewi, przezwany Alchofni, urodził się w Hiszpanii — w Toledo. Poetyczne jego dzieła noszą tytuł: „Tachkemonii.“ Czystością i wydoskonaleniem stylu podniósł rodzinny język nad sam arabski, z którego tłomaczył: wstęp do Miszny Majmonidesa, niektóre z pism Arystotelesa, Galena księgę o duszy, etc. *Przyp. tłom.*

*) Targum (targem), aramejskie i chaldejskie tłomaczenie Starego testamentu przed przyjściem Chrystusa. Onkelos tłomaczył Pięcioksiąg Mojżesza; przekład należący do późniejszych, ale niemniej ważny. Wszystkie tłomaczenia Targumu były zebrane w Bibliach rabinicznych. *Przyp. tłom.*

ustanowionych praw majowych i odwołaniem głównej przechwałki: „Do Kanosy nie pójdziemy!“ Co błędem nie jest, tego się nie odrabia tak prędko. Błąd ten, ponieważ od kapelmistrza wyszedł, nastroił umysły na ton zwrotu religijnego i wywołał w kierunku tym objawy nietylko w kościele katolickim, bezpośrednio dotkniętym, ale i w protestanckim, przez kapelmistrza popieranym.

Czy inaczej, jak nastrojem tego rodzaju, da się wytłomaczyć zjawisko takie, jak armia zbawienia? Kilka lat temu, pisałem o wystąpieniu jej. Należało przypuszczać, że się to nie utrzyma. Stało się przeciwnie. Nietylko armia się utrzymała, ale się rozwija i tam, skąd ją wyrzucono, wyprocesować sobie potrafiła stanowisko prawidłowe. Hasło jej to samo, co hasło wielkiego kanclerza: „Krwią i żelazem!“ Jak on dla cesarstwa, tak ona dla Chrystusa, świat podbijać zamierza i, jak on, tak ona ludzkość w foremki średniowieczne wtłoczyć pragnie. Jeżeli przypomnimy sobie ton nabożny depesz, oznajmiający światu w r. 1870—71 zwycięstwa pruskie, tenże sam ton odnajdziemy odbity w raportach i odezwach armii zbawienia. Nie Bismarck ją sformował i zorganizował, tego nie utrzymuję; — to jednak rzeczą jest pewną, że powstała ona z nastroju, wynikłego wskutek prześladowania kościoła katolickiego w Prusiech. Rozbudzenie ducha oporu w świecie katolickim oddziałało na świat chrześciański i rozdmuchało ducha gorliwości przedsiębiorczej w dwóch kierunkach: odpornym i zaczepnym. Objawił się ruch ogólny. Jedni się bronili, będąc napastowanymi; drudzy czuli za sobą plecy i zamierzyli korzystać ze sposobności i czasu. Na prześladowaniu katolicy wyszli doskonale; protestanci jęli się krzątać śmielej, aniżeli przedtem i wydali z łona swego armię, o której wyżej, która, przyjęta zrazu przez nich samych z niedowierzaniem, zdobyła grunt, uzyskała prawo obywatelstwa i szerzy działalność swoją.

Armia zbawienia podbiła już — wyrażając się językiem jej — wszystkie w Szwajcaryi miasta znaczniejsze: Genewę, Lausannę, Neufchâtel, Nyon, Zürich i, jak się zdaje, Bern i Bazyleę. Zaniechała już publicznych na ulicach i placach wystąpień, jakiemi się pierwotnie zaznaczyła, ale w zabiegach swoich nie ustaje i prozelitów zyskuje we wszystkich sferach społecznych. Uporem, przypominającym dzieje dawnych chrześcian, przemogła wstręt, jaki początkowo w publiczności ku sobie budziła i gra w Europie rolę misyj, wyprawianych do Afryki, dla nawracania dzikich. No — i nawraca. Garną się do niej. Sfera uliczna, co ją dwa lata temu kamieniami przyjmowała, a w lokalu jej okna tłukła i drzwi wyłamywała, dostarcza jej rekrutów, składających publicznie wyznanie grzechów i przyrzeczenia poprawy. Ze sfery mieszczańskiej, z arystokracyi rodowej i finansowej przystają do niej jednostki, które jej dają poparcie. Zakres działalności jej rozwija się na skalę coraz to szerszą, w Szwajcaryi i we Francyi, ogniskując się po miastach i przenikając do ludności wiejskiej, której się przedstawia pod postacią zgromadzeń na otwartem powietrzu, odmawiających modlitwy, śpiewających hymny pobożne i wygłaszających kazania, wzywające do szeregów Chrystusa. Reprezentacye tego rodzaju w mundurach, przy odgłosie muzyki wojskowej, przy rozwiniętych sztandarach, pojawiające się nagle w polu, na skraju lasu, na pastwisku, zajmują wyobraźnią i nie pozostają bez wpływu.

Duchowieństwo protestanckie przyjęło zrazu armię zbawienia z niedowierzaniem, z niechęcią nawet. Obecnie jednak niechęć ustąpiła miejsca tolerancyi, podszytej życzliwością, której powód tkwi w tem, że armia dokazuje tego, czego dokazać nie mogły stowarzyszenia pastorów, zawiązywane pod egidą konsystorzów, to jest: „wstrząsa dusze,“ rozbudza z zadrzemania ducha wiary i przez to przysposabia grunt do tak zwanej „ewangielizacyi,“ które duchowieństwo protestanckie nadaremnie podejmowało. Armia nie przyznaje się wprawdzie do działania na korzyść wyznania tego lub innego; ponieważ jednak wyszła z łona protestantyzmu, protestantyzm przeto spodziewa się wykrzesać z niej korzyść dla siebie i pozostawia jej swobodę działania, usiłując ze strony swojej zaprowadzić zgodę w łonie własnem. Wiadomo, że protestantyzm rozpadł się na dwa rodzaje: prawowierny i liberalny. Chodzi o to, ażeby różnice te sprowadzić na grunt wspólny. W celu tym odbywają się narady i wykłady. Obecnie w uniwersytecie genewskim p. Petavel-Olliff naucza „o śmierci drugiej,“ tj. o tem, że życie przyszłe zależy od prowadzenia się człowieka w życiu doczesnem — dusze ludzi cnotliwych żyją wiecznie na łonie Boga, dusze ludzi niecnotliwych obracają się w niwecz. Doktryna ta, którą profesor wyprowadza z Biblii, z ewangelii i z pism ojców kościoła i która karę za grzechy przedstawia pod postacią znicestwienia, pogodzić ma jakoby protestantów liberalnych z protestantami prawowiernymi. Nie wchodząc w istotę jej, a biorąc ją jeno jako objaw, świadczy ona o ruchu religijnym, wywołanym wskutek nastroju, jaki umysłom nadała, pchająca ludzkość w kierunku wstecznym, polityka księcia Bismarka.

Ruch ów przejawił się najsilniej w kościele katolickim, który, zaatakowany wręcz, uzbrojony w nowe dogmaty, zwrócił się w czasach ostatnich do nauki, szukając w niej, na podścielisku filozoficznem, podstaw opornych. Leon XIII wysunął naprzód Tomasza z Akwinu w charakterze współzawodnika na drodze kierunków naukowych. Katolicy, nie zaniedbując sposobów dawniejszych — misyj, wystaw, cudów — otwierają szkoły, zakładają uniwersytety. W chwili obecnej czynią się starania ku założeniu w Szwajcaryi uniwersytetu piątego (czy nie za wiele?) katolickiego we Friburgu.

Cherchez la femme. Zwrot ów wypływa wprost z nastroju, który jest dziełem męża, przewodniczącego losom cesarstwa niemieckiego. Czy się on — o zwrocie mówię — utrzyma, jest to pytanie, które się samo nastręcza, a które jednak milczeniem pominę dla tego, że chodziło mi jeno o zaznaczenie tego, co jest, nie zaś tego, co będzie. Obecnie książe Bismark cofa się ze stanowiska prześladowcy kościoła katolickiego. Może kościół na tem gorzej aniżeli na prześladowaniu wyjdzie. Nie wchodzę w to, jak na dzisiaj. Zobaczymy za lat dziesięć, jeżeli dożyjemy.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Postawione przez Rosyę żądanie zmiany niektórych warunków ugody turecko-bułgarskiej napotkało na opór ze strony Porty, który jednak zapewne nie potrwa długo, gdyż i inne mocarstwa wystąpiły z notami, oświadczającemi, że statut organiczny dla Rumelii winien być odpowiednio zmieniony i zatwierdzony przez rządy wielkich państw europejskich. Tymczasem książe Aleksander, nie czekając na uprawnienie swego stanowiska, zwołuje zgromadzenie przedstawicieli zjednoczonej Bułgaryi, w celu zatwierdzenia umowy z Turcyą i reform wewnętrznych, dokonanych w ostatnich czasach.

Nareszcie traktat pokojowy między Bułgaryą i Serbią został zawarty. Turcya za-

---

Platt—żydowskiem, które dzisiaj
Nazywamy „aramejskiem.“
Do języka zaś proroków
Ma się owa żółtodziobna
Hebrajszczyzna, jako szwabizm
Do języka niemieckiego —

Wcześnie bardzo chłopiec poznał.
A nauka ta mu potem
Posłużyła wielce w studyach,
Nad Talmudem odbywanych.

Tak jest. Bardzo wcześnie ojciec
Wwiódł pacholę do Talmudu.
I zaraz też rozwarł przed nim
Uroczystą treść Chalachy *),

Ową szkołę zapaśniczą,
Gdzie dyalektyczni atleci
Babilonii, Pumpedyty,
Wiedli sporów bój zacięty.

Tu wyrobił myśl gruntownie
Młodzian w sztuce polemicznej —
Czego później dowiódł dzielnie
W swoim utworze „Kozari.“

A jak niebo dwoma prądy
Świateł różnych ziemię darzy:
W dzień promieńmi słonecznymi,
A mdłym blaskiem w noc miesiąca —

Tak podobnie błyszczy Talmud
Dwu światłami — rozdzielony
Na Chalachę i Chagadę.
Pierwszą tedy z nich nazwałem

Szkołą szermierstwa słownego.
Drugą zaś nazwę ogrodem
I ogrodem fantastycznym
A podobnym do innego,

Który również wyrósł kiedyś
Tam na gruncie babilońskim,
Był dziełem Semiramidy
Zwany ósmym cudem świata.

Ta królowa Semiramis,
Którą ptaki wychowały,
Ona też od nich przejęła
Różne ptasie obyczaje —

Nie raczyła po zwyczajnej
Ziemi chodzić, jak czynimy
My, zwierzęta mleko-ssące —
Lecz powietrzny wzniosła ogród.

Na olbrzymich słupach stały
Smukłe palmy i cyprysy,
Pomarańcze, kląby kwiatów,
Wodotryski i posągi...

Wszystko zaś wiązały liczne
A jak pnące się rośliny,
W powietrzu wiszące mosty,
Na których siadały ptaki.

Ptaki duże, pstre, poważne—
Mędrcy ci, co nie śpiewają,
Lecz których otacza rzesza
Drobnych ptasząt śpiewających.

Wszystko żyło, oddychało
Czystą wonią balsamiczną,
Której nie zatruły miazmy,
Ani też wyziewy ziemi.

Tak, Chagada jest ogrodem
Świegotliwego rodzaju;
To też młody talmudysta
Gdy miał serce zapylone,

I odurzone sporami
Swej Chalachy lub rozprawą
O nieszczęsnem owem jaju,
Które kokosz zniosła w święto *);

Albo inną, równej wagi
Mądrą sprawą — wówczas chłopiec
Rad uchodził pierś orzeźwić
W woniejący świat Chagady.

*) Od czasów Hillela-Chalacha i Chagada zajmowały głównie szkoły w Galilei, Syryi i Rzymie; potem w Babilonie. *Przyp. tłom.*

*) W komentarzach talmudycznych, należących do Chalachy, między innemi bałamuctwami, znajduje się rozprawa o jaju zniesionem w dzień świąteczny — czy je jeść można. *Przyp. tłom.*

proponowała, żeby obejmował on jeden tylko artykuł, głoszący, że stosunki przyjazne między obiema stronami są przywrócone. Przedstawiciel Serbii Mijatowicz, który z komiczną powagą odgrywał rolę wielkiego dyplomaty, zwlekał umyślnie, podnosząc coraz to nowe pretensye, pozbawione wszelkiego znaczenia. Serbia żądała, żeby powrócono tylko do stosunków istniejących przed wybuchem wojny, niechcąc zawierać formalnego traktatu i przyjmować zobowiązań; ostatecznie uległa jednak i zgodziła się na przedstawioną przez posła tureckiego redakcyę.

Po załatwieniu tych dwóch najpilniejszych spraw, może teraz dyplomacya europejska zwrócić się do Grecyi i na ten punkt skierować wszystkie usiłowania przeciw-pożarne. Jakoż rzeczywiście telegramy donoszą, że gabinet Delyanisa podał się do dymisyi, ponieważ wobec postawy mocarstw nie może spełnić życzeń narodu; król dymisyi nie przyjął, ale prezes ministrów, spełniwszy tę ceremonię, może teraz z honorem poddać się nieubłaganej konieczności.

W pruskiej Izbie panów niejaki Dernburg postawił wniosek, pochwalający germanizacyjną politykę rządu. Rozumie się, że w tym przybytku junkierstwa wniosek przeszedł ogromną większością głosów (108 przeciw 13—7 polaków i 6 niemców). Ale nie o uchwałę Izby panów nam chodzi, pragniemy zaznaczyć tylko, że w czasie rozpraw biskup katolicki Kopp złożył ciekawe zeznanie. Oświadczył on otwarcie, że anty-polskie projekty rządu mogą liczyć na poparcie duchowieństwa katolickiego, chociaż on sam wstrzymał się od głosowania. Dodać trzeba, że Kopp jest pośrednikiem w układach między rządem niemieckim i Watykanem, on to również wymyślił i doprowadził do skutku kandydaturę Dindera. Ponieważ ten ostatni ma być dopiero w końcu marca prekonizowany na arcybiskupa gnieźnieńskiego, niektórzy poznańczycy postanowili prosić papieża, żeby mianowanie Dindera unieważnił. Ale, jak donosi *Goniec wielkopolski*, wysłana do Rzymu deputacya nie mogła uzyskać posłuchania u Leona XIII. Najgorliwszym protektorem Dindera i zwolennikiem ugody z Bismarkiem jest „nasz świętobliwy ziomek" — kardynał Czacki.

W parlamencie niemieckim zaczęły się rozprawy nad monopolem wódczanym, który nietylko wywołał protest ze strony drobnych państw niemieckich, ale nawet między wiernymi rządowi konserwatystami znajduje coraz więcej przeciwników. W tym projekcie finansowym przebijają się wyraźnie cele polityczne, kanclerzowi nie tyle chodzi o zwiększenie dochodu i pozyskanie funduszów do rozporządzenia, ile o to, że podczas wyborów mieć może na zawołanie całą armię wiernych agentów—gorzelników i karczmarzy. Ci ostatni zwłaszcza oddać mogą rządowi nieocenione usługi w walce wyborczej, w zwykłym zaś czasie wybornie zastępować tajną policyę.

Ruch robotniczy w Anglii nie ustaje. W bieżącym tygodniu miały znowu miejsce zaburzenia w Birminghamie i Manchesterze, policyi udało się przywrócić porządek, ale w każdej chwili rozruchy mogą się powtórzyć i przybrać szersze rozmiary. Większość ludności robotniczej dotychczas zachowuje się spokojnie, ale zbiera się na meetingi i podaje prośby do rządu. Na niektórych zebraniach postawiono żądanie wydalenia z Anglii robotników niemców, którzy napływają masami i współzawodniczą z miejscowymi. Ciekawa rzecz, co powiedzą na to gazety niemieckie.

List księcia Napoleona, o którym wspominaliśmy, oburzył wielu republikanów francuskich. Radykaliści domagają się teraz wydalenia pretendentów i chociaż Freycinet jest temu przeciwny, będzie musiał uledz żądaniu Izby.

26 lutego obchodzono w Wiedniu dwudziestopięciolecie konstytucyi austryackiej. Obchód urządzali wyłącznie członkowie lewicy i składali hołdy staremu Schmerlingowi, twórcy t. z. konstytucyi lutowej, ułożonej wyłącznie na korzyść żywiołu niemieckiego.

ROZPRAWY W SEJMIE PRUSKIM.

II.

Minister Lucius na podstawie dzieła Knorra oskarża polaków o dążenia rewolucyjne, podaje zestawienia statystyczne co do własności ziemskiej w rękach polskich i niemieckich (o tym szczególnym wykazie mówimy na innem miejscu) i przyznaje trudności wyszukania kolonistów dla wschodnich prowincyj państwa.

Benda (narod. lib.): Nie straszy nas fundusz 100-milionowy, Nie dajemy tej sumy *à fonds perdu*, lecz przynosić ona będzie odsetki właściwe (śmiechy). Artykuł trzeci powiada, że pieniądze te mają być na wieki oddane rządowi. Będziemy rozbierali pytanie, czy to się da pogodzić z konstytucyą. (Aha!). Przyjaciele moi polityczni zgadzają się na zasady projektu, ale szczegóły będziemy roztrząsali w komisyi osobnej, która zdaniem mojem powinna składać się z 21 członków.

Huene (centrum). Przyjaciele moi polityczni zapatrują się na projekt rządowy nie ze stanowiska polskiego, lecz ze stanowiska prawa i sprawiedliwości. Minister podał statystykę, która zupełnie obala projekt rządowy, boć niemczyzna ciągle postępuje naprzód. Minister mówił o tendencyi rewolucyjnej polaków, ależ od lat 20 nic w ogóle nie zdarzyło się pod tym względem, a o roku 1848 właśnie tu w Berlinie najlepiej milczeć. Projekt cały jest zupełnie niedojrzały. Nie godzi się zabierać do ustawodawstwa w taki sposób. Uzasadnienie projektu oparte jest na bardzo słabych podstawach. Minister nie chce rozdrabniać dominiów rządowych; ależ rozdrabnianie wielkich własności ziemskich połączone jest z temi samemi trudnościami, bo i tam trzeba będzie niszczyć wzorowe gospodarstwa i rozwalać drogie budynki. Uzasadnienie wspomina, że trzeba będzie kolonizować bory i lasy. Czyż na seryo myśli rząd je wytępić? Najważniejszą stroną projektu jest nabywanie własności polskiej. Nie umie on wszakże nawet podać pewnego obliczenia, pod jakimi warunkami ma być własność ta nabyta. Nie wie, czy ceny pójdą w górę, czy spadną. A nikt nie umie obrachować sumiennie ceny pojedynczych kolonij. Minister mówił, że trudno będzie o kolonistów. Najprzód nie przydadzą się górnoszlązacy, bo gotowiście powiedzieć, że się spolszczą. Powtóre nie zdadzą się katolicy. Panowie, Fryderyk II-gi był uczciwszy, bo on z góry powiedział: „Dajcie mi dobrych protestantów!" Kto pójdzie do Poznańskiego? Szwabom się dawno odechciało. A co zrobicie ze szlachtą polską, która będzie miała w ręku gotówkę? Oni wtenczas dopiero rozpoczną agitacyę. A co zrobicie z robotnikami, którzy dziś żyją w dobrach polskich? Praca kolonizacyjna sprowadzi licznych agentów, oczywiście narodowości czysto-niemieckiej, a oni najwięcej zarobią, bo przy takich interesach spadają zawsze tłuste kęsy. Ostatecznie wyjdzie na to, że budżet pruski rocznie będzie obciążony wydatkiem czterech milionów (bo tyle wynoszą odsetki 100 milionów), a Bóg wie kiedy i wśród jakich okoliczności dostaniecie coś napowrót. Rząd obiecuje nam zdawanie rachunku; ależ owa komisya z 4 członków nic nie znaczy, chyba że się zamieni na władzę państwową z bardzo rozległemi funkcyami; to znowu będzie kosztowało, ale macie 100 milionów na takie rzeczy, to będziecie mieli dosyć na uposażenie owej komisyi. Członkowie sejmu pod żadnym warunkiem nie mogą być podwładnymi rządu; kto jeszcze trochę choćby ceni swą godność poselską,

---

Ów świat pięknych starych,
Legend, bajek z aniołami,
Cichych powiastek męczeńskich,
Śpiewów oraz zdań mądrości

I hiperbol, dość dziecinnych
Ale zawsze w wierze silnych
I gorących. A to wszystko
Tak płynęło i tryskało!

Szlachetne serce chłopięcia,
Ogarniała nagle dzika
I awanturnicza słodycz,
Nadzwyczajna chęć boleści,

A przytem bajeczna trwoga
Przed tym światem tajemniczym,
Owem wielkiem objawieniem,
Które my zwiemy poezyą.

I Jehuda-ben-Halewi
Był nietylko mędrcem sławnym
Lecz i mistrzem w rymotworstwie,
Lecz także wielkim poetą.

Tak jest, wielkim był poetą,
Gwiazdą i pochodnią czasu,
Narodu swojego światłem;
Był on wielkim i cudownym,

Gorejącym słupem spiewu,
Co bolesną karawanę
Izraela wciąż poprzedzał
Na pustyni śród wygnania.

Pieśń poety była szczerą
I szlachetną, a jak dusza
Jego czystą... Wonczas kiedy
Bóg Jehudy duszę stworzył,

Zadowolon z dzieła swego,
Pocałował ją, uroczy
Odgłos tego pocałunku
Drży w każdej pieśni poety.

Równie w życiu, jak w poezyi —
Łaska jest najwyższem dobrem;
Kto ją ma, ten już nie zgrzeszy
Ani w prozie, ani w wierszach.

Takiego też wieszcza z łaski
Boskiej zwiemy geniuszem.
Nieodpowiedzialnym królem
Jest on w swojem państwie ducha.

Zdaje tylko Bogu sprawę —
Nie ludowi. Lud nas — równie
W naszem życiu, jak i w sztuce,
Może zabić, lecz nie sądzi.

II.

„Nad wodami Babilonu
Siedzieliśmy, płacząc — harfy
Na konarach wierzb zwiesiwszy..."
Czy tę starą pieśń pamiętasz?

Czy pamiętasz pieśń tę jeszcze,
Co tak rzewna na początku,
Wre i szumi, jak kociołek
Postawiony na ognisku.

Bardzo dawno, lat tysiące
Gotuje się ona we mnie.
Czas me rany liże tylko,
Jak lizały psy Hijoba...

O! psie! — Dzięki!... Lecz twój język
Ból mój tylko chłodzi. Śmierć-by
Jedna mogła mię uleczyć...
Lecz, ach, jestem nieśmiertelny!

Lata idą i uchodzą —
A czółenko biega w krosnach,
Szemrząc w jedną, w drugą stronę.
Co zaś tka, żaden tkacz nie wie.

Lata idą i uchodzą...
Łzy pokoleń płyną — cieknią
Wciąż na ziemię, a ta ziemia
Z cichą żądzą je wysysa.

War szalał! Pokrywa spadła!
Dzięki temu, czyja ręka
Twój młodzieńczy płód porwała
I rozbiła go o skałę.

Bogu dzięki! Wyparował
Już kociołek, który zwolna
Całkiem milknie. Uszedł ciemny
Już wschodnio-zachodni splen mój.

uważać musi taką propozycyę za urągowisko. Nie godzi się także polaków traktować w taki sposób, bo to się sprzeciwia konstytucyi zaprzysiężonej.

Holtz (konserwatysta). Nie myślimy 100 milionów wyrzucić przez okno. Suma ta przyniesie nam pożytki materyalne, tak samo jak kanał między morzem Północno-niemieckiem i Baltyckiem. Minister mówił o trudności ściągania kolonistów; potrzeba koniecznie zaprowadzić dzierżawę wieczystą. Chłop niemiecki nie lubi dzierżawić ziemi na krótki przeciąg czasu. Winniśmy mu więc oddać kolonię, obowiązując go do spłacania słusznej renty wieczystej.

Ks. Ostrowicz. Napróżno walczymy przeciw waszemu projektowi, boć macie większość; niejednemu z was przykro będzie skosztować tego gorzkiego owocu, ale musicie! Mówicie o obcym żywiole, alež Prusy same dobrowolnie przywłaszczyły obcą własność i zaanektowały obcy żywioł. Państwo powinno dbać o całą ludność i o rozwój polaków nie podług szablonów pruskich, ale tak, jak tego wymaga natura narodu polskiego. Wy chcecie wytępić nas i to zapomocą grosza także polskiego, co nie jest godnem ani ze stanowiska ludzkiego, ani chrześciańskiego. Społeczne następstwa projektu będą opłakane. Gwałcicie własną konstytucyę, która zaręcza, że wszyscy poddani równi są wobec prawa. Postępujcie tylko dalej tą drogą, a zobaczycie, dokąd zajdziecie. Twierdzicie, że jesteśmy niedobrymi poddanymi, ale dowodu nie przytoczyliście na to żadnego; twierdzenie wasze jest insynuacyą fałszywą. Chcecie być konsekwentnymi, to użyjcie gilotyny lub nawet dynamitu, aby nas wytępić. Stawiacie brutalną przemoc w miejsce sprawiedliwości. Gdzież podziało się wasze chrześciaństwo? Prowadzicie politykę wprost barbarzyńską. Anarchiści i nihiliści będą wam wdzięczni, bo słyszałem, że zamierzają wybić na cześć obecnej większości rządowej medal z napisem: *„Pour le mérite“* Ostatecznie nie zatamujecie prądu, który porywa coraz szersze koła ludności. Na ziemi dość jest miejsca dla wszystkich narodów, dlaczego nie chcecie nam zostawić naszego? Zresztą wiemy, że najlepszych synów Niemiec posiadamy sympatyę. Całą zbrodnią naszą jest to, że jesteśmy polakami i katolikami, a teraz chcecie nas zamienić w żebraków i pragniecie, aby imię nawet polskie zaginęło. Nie osiągniecie zaś tego, żebyśmy zapomnieli o swej narodowości i o religii katolickiej. Nie wyprzemy się języka swego, bo kto się tego dopuści, ma piętno zdrajcy wyryte na czole. Ideały nasze nie opuszczą nas wśród życia, ani w godzinę śmierci. Im więcej uderzać będziecie na nas, tem silniej będziemy kochali ojczyste rzeczy. Dążycie do tego, aby stworzyć nową Irlandyę, ale usiłowania wasze będą próżne, bo lud nasz budzi się wszędzie i wie z mów Bismarka, że po rządzie pruskim nie ma się już czego spodziewać, przynajmniej po rządzie obecnym. Książe Bismark natrząsa się z tego, że Polacy jeżdżą do Monaco. Ubolewamy nad tymi ludźmi lekkomyślnymi, którzy to czynią, ale to są tylko jednostki, za które naród cały nie może być odpowiedzialnym. Czyż nie jeździli i dyplomaci niemieccy i mężowie stanu do Monaco? Chłopi polscy przysyłają nam listy, dowodzące, że mowy Bismarka objaśniły ich doskonale o zamiarach rządu. W chwili niebezpieczeństwa gotowiście do ludu naszego odezwać się słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła,“ ale skoro minie niebezpieczeństwo, zabieracie się do germanizacyi. Cała polityka Bismarka zasadza się na tem, że czuje się on silnym, a wie, że my jesteśmy słabi; ma apetyt i chciałby nas pożreć. Ale stary żołądek coraz mniej trawić jest w stanie. Panowie, przypomnijcie sobie, że cześć imienia niemieckiego wymaga po was, abyście się wyparli obecnego projektu.

Treskow (konserwatysta mówi śród nieustannego gwaru i śmiechów; gdy zaznacza, że niemcy są cierpliwi, jeden z posłów woła: „Prawda, bobyśmy inaczej nie wysłuchali podobnych wywodów.“) Niemcy przyszedłszy do Poznańskiego, pragną zbliżyć się do polaków, ale ci ich zrażają. Po części znowu niemcy polszczą się, przez co wcale nie zyskują na poszanowaniu ze strony polaków, którzy używają ich tylko jako cennego materyału. Polki mianowicie nie lubią niemców. (Wesołość.) Księżą korzystają z tego, aby przeciw nam walczyć zapomocą tej broni. Gdy niemiec przestąpi progi domu polskiego, polka jest dla niego uprzejma i mówi nawet po niemiecku, choć łamanym językiem, ale ta uprzejmość ustaje natychmiast, skoro niemiec oddali się. (Śmiechy.) Księża popierają polskość tem samem, że stawiają żądania rozmaite w interesie katolicyzmu. Ubolewać trzeba nad tem, że niemcy katolicy w Poznańskiem nie mają dość księży... (Gwałtowne śmiechy.) Na ulicach Poznania daleko częściej teraz słychać język polski niż dawniej; zwłaszcza rzemieślnicy, którzy dawniej mowili po niemiecku, dziś używają wyłącznie polszczyzny. Mnoży się prasa polska coraz więcej. (Schodzi z mównicy wśród powszechnej wesołości.

Schorlemer-Alst (centrum). Pełno mamy ustaw wyjątkowych: przeciw katolikom, przeciw socyalistom, przeciw alzatczykom, a teraz świeżo przeciw polakom. Ustawy wyjątkowe zrobiły najgorsze wrażenie w kraju i za granicą; one waśnią osoby prywatne i stronnictwa całe, któreby bez nich nie myślały wcale o niechęci i nienawiści. Rozruchy w 1848 były raczej winą rządu pruskiego, niż polaków. Dowodzą tego instrukcye, które generał Willisen otrzymał w owym czasie. Najprzód udzielano zbyt wielkich obietnic polakom, a potem nie dotrzymano ich. Gdyby wszystkie okolice miały być karane za rok 1848, to wszędzie byłoby pełno ustaw wyjątkowych, mianowicie w prowincyi nadreńskiej, nie mówiąc wcale o Berlinie. Niemcy śpiewali pieśni na cześć polską; czynił to np. poeta Reuter, za co siedział 4 miesiące w więzieniu; tenże sam Reuter był najlepszym patryotą niemieckim, lecz i za to karano go, bo dozwolony był tylko pruski patryotyzm! I politykę zagraniczną ks. Bismarka nazwano „rewolucyjną;“ jakżeż więc ks. Bismark może tu szermować wyrazem tym przeciw polakom? Minister wojny puszczał w obieg domysły, jakoby oficerowie polscy nie pełnili swych obowiązków i jakoby osoby wpływowe namawiały żołnierzy polskich do porzucenia chorągwi pruskiej. Minister powinien był wymienić osoby winne i żądam tego od niego, bo twierdzeń bez dowodów nie godzi się rozgłaszać. Ks. Bismark radził polakom, żeby pieniądze, otrzymane za własność swoją, zawieźli do Monaco. To musiało ich do żywego oburzyć. Ale czyż nie mogliby oni swych pieniędzy przegrać w Berlinie, gdzie tylu młodych niemców traci majątki ojcowskie i potem chwyta za rewolwer? Obecny projekt zapowiada bankructwo cywilizacyi niemieckiej. Gdyby ks. Bismark nie żądał tej ustawy, żaden inny minister nie otrzymałby jej ze strony sejmu. Ma ona trwać i po śmierci ks.Bismarka. Większość obecna nie powinna zapominać o tem, że ona się w tej samej chwili rozpadnie, kiedy ks. Bismark oczy zamknie lub z urzędu ustąpi. Skoro projekt ma znaczenie pokojowe, trzebaby pragnąć, aby także w Pomeranii wzięto się do wywłaszczania szlachty. Mógłby on działać w myśl większości, gdy od razu wywłaszczono całą szlachtę polską; skoro powoli działać będziecie, rozbudzicie tylko do najwyższego stopnia poczucie narodowe polaków, a roztrwonicie majątek narodowy; dzikością zaś jest, że nawet polacy podatkami swemi muszą brać udział w tworzeniu funduszu milionowego. Jakiemi zastrzeżeniami zaś trzeba będzie obwarować hypoteki kolonistów, aby ci pozostali protestantami i niemcami, aby tylko po niemiecku mówili i żenili się z niemkami; bo jeśli nie obmyślicie tego, osiągnięcie celu będzie trudne. Projekt zostawia rządowi dowolność nieograniczoną. Dlaczegóż nie oddacie od razu 100 milionów ks. Bismarkowi do dyspozycyi dowolnej? Po co liczne artykuły ustawy? Po co uzasadnienie? Obecnie głowa samego tylko ks. Bismarka myśli, nikt z was tem się nie trudni, nie macie żadnej samodzielności; co się stanie, gdy ks. Bismark oczy zamknie i nastąpi reakcya?

Minister *Lucius* chwali politykę ks. Bismarka, a stara się wykazać, że mowa jego nie była nielogiczną.

I Pegazik znów jak dawniej
Parska rzeźwo, jakby wielkie
Chmury nocy z siebie zrzucał...
I rozumnem okiem pyta:

„Co!... Znów zbiegniem do Kastylii...
Do małego talmudysty,
Co w potęgę urósł wieszcza —
Do Jehudy-ben-Halewi?“

Tak!... On wielkim był poetą!
Samowładcą w państwie marzeń,
Przez duchy ukoronowanym,
Z łaski bożej był poetą!

W canzonetty, madrygały,
I sielanki i tercety,
Dumy, ody, pieśni, hymny —
Przelał ognie wszystkie duszy,

Uświęconej pocałunkiem
Bożym! Był on też pieśniarzem
Godnym stać obok najlepszych
Trubadurów prowansalskich,

Poitou oraz Gujenny,
Roussillonu i wszech innych
Słodkich krain pomarańczy
Wytwornego chrześciaństwa.

Wytwornego chrześciaństwa
Słodkie kraje pomarańczy!
Jakże pachną, błyszczą, dźwięczą
W ułudnym świetle wspomnienia!

O piękny świecie słowików,
Gdzie miast Boga prawdziwego
Czczony tylko jest fałszywy
Bóg miłości i muz grona.

Chór kapłanów, uwieńczywszy
Łby wieńcami róż, zawodził
Psalmy w wesołym języku;
A laicy, oni rycerze,

Na wysokich jeżdżąc koniach,
Układali wiersze, rymy
Dla uczczenia swojej damy,
Której serce ich służyło.

Bo bez damy niema uczuć,
Więc każdemu śpiewakowi
Tak niezbędną była dama,
Jak dla chleba bywa masło.

I bohater naszej pieśni
I Jehuda-ben-Halewi
Miał swojego serca damę
Lecz rodzaju szczególnego...

Bo nie była to Laura
Której oczy, ziemskie gwiazdy,
Kiedyś wszczęły sławny pożar
W wielki piątek, w domu bożym.

Nie była też to księżniczka
W zdobnym stroju swej młodości,
Przywodząca na turniejach,
Rozdająca wieńce zasług...

Nie była to kazuistka
Praw całusa, doktrynerka,
Co wykłada swoją mądrość
W kolegium dworu miłości.

Nie!.. Ta, którą kochał rabbi,
Żyła w nędzy, w łzach, w tęsknocie —
Była obrazem ruiny,
Zwała się zaś — Jeruzalem.

On ukochał ją we wczesnym
Już dzieciństwie. W drżenie wprawiał
Go serdeczne ten sam dziwny
Dźwięk wyrazu: „Jeruzalem!“

Z płonącymi policzkami
Stawał chłopiec i wsłuchiwał
Się w pielgrzyma, który wracał
Zdala Wschodu do Toledo.

I obszernie opowiadał
O pustkowiu i zniszczeniu
Miejsc, na których widne dotąd
Jeszcze ślady stóp proroków —

Gdzie powietrze jeszcze dotąd
Nasiąknięte tchnieniem bożem...
„Rozpaczliwy widok, bracia!“ —
Rzekł raz tęsko pewien pielgrzym

Z długą, biało-śnieżną brodą,
Ale której wierzch czarnymi

Gdy minister skończył, zawołał Richter ironicznie: „Czy to już wszystko?“

(D. n.).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 17 lutego.

Procedura z chorymi w cywilizowanej stolicy. — Małe zestawienie: Towarzystwo geograficzne itp. a Skarbek i zakład drohowyski. — Zamiar usamowolnienia krajowego handlu i przemysłu.

Niewątpliwie tkwi jeszcze w pamięci czytelników *Prawdy* jaskrawy fakt, opisany przezemnie przed kilku zaledwie miesiącami: żydówka odesłana ze szpitala do „aresztu“ miejskiego dla zbadania, z jakiej gminy pochodzi, czy też, kto za nią ma płacić koszta leczenia, skonała w ciemnej i chłodnej komórce. Zdarzenie to oburzyło opinię publiczną: interpelowano prezydenta miasta, rozbierano sprawę po dziennikach, podnoszono konieczność zmiany nieludzkich przepisów lub też zaprowadzenia domów przytułku dla nieuleczalnych i innych, słowem wprowadzenia urządzeń takich, któreby świadczyły o tem, że stolica 6 milionowego kraju w środku Europy leżącego i mającego pretensye do cywilizacyi, stoi nieco wyżej pod tym względem, niż jakaś osada z pod berła króla Mgu-Mgu lub Nyam-Nyam. Wszystko to trwało chwilę — jak zwykle u nas. Pierwsza gorączka minęła, powoli zapomniano o biednej żydówce i wszystko wróciło do starego trybu.

Lecz licho nie śpi a stare przysłowie mówi: złe drzewo tylko gorżkie rodzić może owoce. Urodziło też znowu owoc i to pokaźny. Podobnie jak z ową żydówką, postąpiono sobie z pewną młodą 21 letnią dziewczyną, francuzką. Szło z jednej strony o 17 złr. kosztów leczenia, których guwernantka zapłacić nie mogła a z drugiej pono o to, że była leczoną na oddziele chorób zakaźnych a wedle przepisu (znowu przepis!) Wydziału krajowego, kobiety leczone w tym oddziele mają być odstawiane do aresztów miejskich dla stwierdzenia tożsamości. Przepisom stało się zadość i biedna dziewczyna dostała się w arcymiłe towarzystwo. Ledwie na usilne prośby zaprowadzono ją potem — oczywiście pod strażą — do kantoru służbowego, gdzie poprzednio miała posadę i spodziewała się otrzymać owe 17 złr. Na nieszczęście właściciela kantoru nie zastano a dziewczyna, nie chcąc wracać do aresztu, skoczyła z 3-go piętra i złamała sobie nogę.

Czy myślicie, że może tym razem wrzawa z powodu tej przykrej sprawy sprowadziła gruntowną reformę lub choćby projekt zmiany przepisów? Ani słychu. Dzienniki oburzały się, zbierano składki dla biednej dziewczyny a wreszcie zainterpelowano na posiedzeniu Rady miejskiej prezydenta. Ten wyjaśnił, że gdyby dziewczyna chciała się zabić, byłaby skoczyła z 4 nie z 3 piętra, że tylko nadwyrężyła sobie kość a nogi nie złamała, że przyzwoita na niej suknia nic nie znaczy, bo ludzi wedle sukni nie należy sądzić, że wreszcie magistrat musi być posłuszny przepisom wydziału krajowego. Ot i po wszystkiem. Chociaż przy tej sposobności stwierdzono, że w aresztach miejskich niektóre osoby przez lata całe przesiadują, zanim władza stwierdzi, do której gminy należą—wszystkim zamknęła usta wiadomość, że dziewczyna była leczona na chorobę zakaźną. Taka, zdaniem poważnych ojców miasta, nie zasługuje już na uwagę, jest, jak to określa termin z prawa niemieckiego *vogelfrei*.

Nie opowiadałem tej sprawy, znaczenia zresztą miejscowego, bez celu. Zestawcie tylko ten świeży fakt ze śmiercią owej żydówki, a dalej ze strasznym zgonem 47 ludzi bezdomnych, którzy niedawno stali się pastwą płomieni, o czem pisma codzienne obszernie wam doniosły; ja dodam jeszcze nadto dwa drobne fakciki: pani wyrzucająca swą służącę teraz wśród zimy na bruk uliczny, aby nie raziła jej uszu krzykami spowodowanymi bólem porodowym, czy też, aby nie wnosiła sromu do siedziby cnoty i druga bogata właścicielka dwu kamienic, która kupcowi chwilowo dotkniętemu niepowodzeniem nie może ani dnia poczekać na zapłatę zaległego czynszu, lecz przemocą wyrzuca mu wszystkie towary na ulicę. I cóż? Jaki wniosek mimowoli nasuwa się patrzącemu na to wszystko? Mamyż zawsze wierzyć starej bajce o idealnych przymiotach naszego „wybranego“ narodu?! Ludźmi jesteśmy, jak inni — nie aniołami. Co gorsza, nie chcemy się tego nauczyć, co inni już przyjęli i w czem o całe niebo nas przewyższyli. U nas w chwili zapału sypnąć na składkę, utworzyć fundacyę, zabłysczeć — to łatwo, ale pomyśleć o wydziedziczonych na seryo, otoczyć ubogich stałą opieką, utworzyć domy przytułku, podrzutków, pracy itd. strasznie trudno. Towarzystwo geograficzne dla badania środkowej Afryki! brawo — panowie bawią się jeden, drugi, dziesiąty i puszczają pieniądze bez żalu — po drugiej zaś stronie stoi tylko jeden szlachetny Skarbek ze swym zakładem drohowyskim i próżno czeka, rychło-li dostanie towarzysza.

A przecież, gdyby trochę więcej dobrych chęci a co ważniejsza trochę więcej wytrwałości w czynie, niejedno mimo niewątpliwej zresztą biedy kraju dałoby się przeprowadzić. Edykt pruski np. i niedawna rozprawa w sejmie berlińskim podrażniła bezsprzecznie wysoce uczucia narodowe i pobudziła do trzeźwiejszych rozmyślań. Kupcy lwowscy z kilku gałęzi postanowili wszelkimi sposobami usamowolnić swojski handel i przemysł od napływu produkcyi niemieckiej. Wydali odezwę w tym kierunku, wielu zobowiązało się publicznie nie sprowadzać towarów z Niemiec. Gdybyż temi krokami pokierowała trzeźwa myśl o dobru kraju a nie tylko wyskok złego humoru i dąsów na Bismarka?! Ileż dobrego mogłoby spłynąć na kraj, gdyby postąpiono tak, jak to zrobili węgrzy po odrodzeniu się: popierać i rozwijać tylko własny przemysł, własną produkcyę, zakładać fabryki, składy itp., których brak u nas, a które mają warunki bytu i rozwoju— słowem skupić się w sobie i poprzestawać na tem, co swoje. Takie hasła, przy pracy i wytrwałości, mogą narodowi dać jedynie pewne podstawy bytu, wyleczyć społeczeństwo ze starych narowów, zmazać niejedną winę, niejeden błąd. Chcę wierzyć, że nasze społeczeństwo ocknie się naprawdę i dlatego krok kupców lwowskich zapisuję z uznaniem jako zdrowy objaw życia społecznego.

Leszek.

Z FRANCYI.

Paryż, 25 lutego.

Zima w Paryżu i przytułki noclegowe paryskie. — Kto w nich szuka schronienia. — Dobroczynność paryska i nasze tańce.

Zima w Paryżu nie jest mroźną, ale chłodną i dokuczliwą. Termometr rzadko wznosi się parę stopni wyżej zera, wystarcza to jednak najzupełniej, ażeby przy

---

Lśnił włosami — zdawało się
Jakby brodę czas odmładzał.

Był to jakiś nadzwyczajny —
Dziwny pielgrzym: w oczach nosił
Ból stuleci, a w westchnieniu
Jeden wyraz: „Jeruzalem...“

„Gród bogaty, święty ludny —
Dziś zmieniony w pustkę martwą,
W której dyabeł i wilkołak
Wraz z szakalem się dziś raczą.

„Ród puhaczy i złych wężów
W gruzach lęgnie się bezpiecznie;
Przez wesołe łuki okien,
Patrzy lis z zadowoleniem

„Tu lub owdzie przemknie czasem
Obszarpaniec tej pustyni,
Pilnujący w dużej trawie
Garbatego tam wielbłąda

„Na Syonu górnych szczytach,
Gdzie złoconych twierdz warownie
Przemawiały wielkim głosem
O potędze króla ludów —

„Tam dziś leżą szare gruzy,
Dzikiem zielskiem obrośnięte,
Tak patrzące rozpaczliwie,
Smutnie — jakby płakać chciały

„A podobno rzeczywiście
Raz do roku, w dzień dziewiąty
Aba *) — gruzy owe płaczą.
Załzawionemi oczami

„Sam widziałem tam łzy grube,
Spływające z tych kamieni,
I słyszałem pod gruzami,
Obalonych kolumn jęki!“

Treść tych świętych opowiadań
Rozbudzała młodocianą
Pierś Jehudy-ben-Halewi
Żądzą ujrzeć Jeruzalem.

Żądza wieszcza!.. Marzycielska,
Niezwalczona równie, jaką
Uczuł niegdyś też szlachetny
Vidam Geoffroy Rudello,

Co na uczcie przy kieliszku
Ów cny Geoffroy Rudello
Raz usłyszał od rycerzy
Wracających z krain Wschodu,

O piękności — perle wszystkich
Niewiast, wzorze cnót jedynym,
Wszechwielbionej Melisandzie,
Margrabinie Trypolijskiej...

*) Dziewiąty Aba miesiąca (września); dzień zburzenia jerozolimskiej świątyni przez Tytusa Wespazyana. *Przyp. tłom.*

Ku niej żądzą — wie świat cały —
Trubadura myśl spłonęła;
Odtąd jedną ją opiewał,
Za nią jedną tęsknił w zamku —

I wyjechał... W Cetcie wreszcie
Wsiadł na statek — lecz na morzu
Wpadł w chorobę — i podążył
Do Tripolis już wpół martwy...

Jeszcze oczy cielesnemi,
Ujrzał piękną Melisandę,
Lecz śmierć rychło kirem padła
Na ostygły trup kochanka.

I śpiewając pieśń miłości,
Oddał Bogu ducha, u nóg
Pani swojej — Melisandy
Trypolijskiej margrabiny.

Dziwne podobieństwo losów —
Dwóch poetów... z tą różnicą,
Że trubadur, będąc starcem,
W świat przedsięwziął swą wędrówkę.

I Jehuda-ben-Halewi
Umarł u nóg swej kochanki,
A konając, głowę złożył
Na kolanach Jeruzalem.

(D. c. n.).

morskim, wilgotnym klimacie, jaki tu panuje, przemarzać do szpiku. Pomimo przejmującego zimna, jakie prześladuje zazwyczaj paryżan od wczesnej jesieni do późnej wiosny, mieszkania są nadzwyczaj źle zaopatrzone. Drzwi i okna nigdzie prawie dobrze nie przystają, pieców żadnych. Są tylko kominki do węgla, dają one jednak tyle ciepła, ile garnki żarzących się węgli, używane przez nasze przekupki. Przeciętny też paryżanin, owinięty w flanelę, marznie co się nazywa, zakopuje się nocą głęboko w pierzyny, przy dobrem jednak odżywianiu i rozgrzewających napojach znosi dość wesoło chłód zimy. Mniej daleko wytrzymali na nią, mniej przystosowani są cudzoziemcy, nawet ludzie północy, przyzwyczajeni do ciepłych mieszkań. Oni to wprowadzili w Paryżu użycie przenośnych pieców żelaznych, opalanych węglem i dziś piece Szuberskiego, rosyanina, są tu powszechnie używane przez ludzi nieco zamożniejszych, nawet przez francuzów. Ale nie mogą bynajmniej zastąpić kaflowych, ogrzewają niedostatecznie i osuszają zbytecznie powietrze.

Dobrze posiadać choć zimne mieszkanie. Są ludzie, co nie mają zupełnie dachu nad głową. Policya paryska zbiera każdej nocy około 50 osób, niemających żadnego przytułku; obliczają zaś, że w stanie normalnym znajduje się w Paryżu stale około tysiąca istot, pozbawionych jakiejkolwiekbądź nory własnej dla noclegu. Do niedawna nikt się nie troszczył, w jaki sposób bezdomni ci nędzarze przepędzają noce zimowe. Opisy tych noclegów na otwartem powietrzu lub w dziurach przeróżnych, źle osłoniętych od zimna, słoty i czujnego oka policyi, znaleźć można w pismach Vallèsa, który sam niejednokrotnie w taki sposób noce przepędzał. Nędzarz szuka w takim razie jakiegoś opuszczonego domu, zwalisk, piwnic i kanałów, gdzieby mógł złożyć znużoną głowę i zabezpieczyć się nieco od chłodu. Przed paru laty w piwnicach dawno zwalonej rudery w samym środku Lwowa znaleziono kilkoro ludzi zaczadziałych na śmierć; rozniecili sobie bowiem w tem podziemiu ognisko; niedawno zaś pod tymże Lwowem spaliło się cztery dziesiątek ludzi z górą, w szopie siana, w której szukali noclegu. Los tej najniższej warstwy proletaryatu przed kilku laty dopiero zwrócił w Paryżu uwagę miłosiernych. W roku 1878 zawiązało się stowarzyszenie dobroczynne (l'oeuvre de l'hospitalité de nuit), które otworzyło w różnych częściach miasta trzy przytułki nocne dla mężczyzn. W roku następnym zawiązało się znowu „Stowarzyszenie filantropijne,“ które otworzyło trzy przytułki dla kobiet. Sześć tych przytulisk ma do rozporządzenia 584 łóżek i 50 kołysek. Znajduje tu co noc schronienie średnio 400 nędzarzy. Przytułki kobiece rozporządzają zawsze pewną liczbą wolnych łóżek, męskie są zawsze przepełnione. W ciągu dwóch lat 1883 i 1884 znalazło tam nocleg 234,697 mężczyzn i 52,213 kobiet — razem 286,910 osób, średnio 393 jednej nocy.

Na 196,668 osób, które szukały noclegu w przytułkach męskich od 2 czerwca 1878 po 31 grudnia 1884 r., liczono 170,151 francuzów, 8,125 belgów, 7,070 niemców, 4,648 szwajcarów, 2,486 włochów, 465 węgrów, 457 obywateli Stanów Zjednoczonych, 387 rosyan, 341 polaków, 291 holendrów i 220 hiszpanów. Co do rodzaju zajęć przeważają tu oczywiście robotnicy różnych gałęzi pracy, sprawozdanie jednak wymienia, że między szukającymi noclegu znajdują się, w znacznej wprawdzie mniejszości: literaci, kompozytorzy muzyczni, artyści, nauczyciele, lekarze, dependenci notaryuszów etc., proletaryat inteligencyi, najdotkliwsza może z odmian nędzy.

Wejdźmy nieco w szczegóły tych filantropijnych urządzeń. Na pierwszą noc przyjmują każdego z żądających noclegu, bez żadnej legitymacyi; przedstawiający papiery w porządku otrzymują schronienie jeszcze na dwie noce następne; wyjątkowo tylko przepędzić można czwartą noc z rzędu i to na twardem zupełnie łożu. Ograniczenia te mają na celu unikanie stałych lokatorów, którzyby w przytuliskach obrali sobie mieszkania. Drzwi otwierają się o 7 godz. wieczorem, zamykają o 9, o 7-mej rano w zimie, a o 6 latem nocujący winni opuścić zakład. Przytuliska mają osobne szatnie i sale do umywania się. Łóżka są żelazne, pokryte dwoma materacami, dwoma prześcieradłami i kołdrą. Prześcieradła mężczyzn zmieniane są raz na tydzień, kobiet codziennie. Przed położeniem się do łóżka, mężczyzni obowiązani są umyć nogi, kobiety biorą wannę z ciepłej wody. Opierający się temu są wydaleni. Odzież podejrzana jest poddawana oczyszczeniu i dezinfekcyonowana. W męskich przytułkach odczytywaną jest modlitwa. Rano, goście schroniska obowiązani są umyć się, zasłać swoje łóżko i dopomódz w zamiataniu; jeżeli odzież jest zbyt zużytą, otrzymują ubranie. Zarząd skupuje stare obuwie i naprawione przez nadwornego szewca, rozdaje między bosych: przyjmuje również starą odzież do rozdania między potrzebujących. Kobieta i dziecko zbyt obdarte otrzymują ubranie, które nietylko okryje lecz ułatwi znalezienie roboty. Stowarzyszenie filantropijne zaopatruje również swych gości w marki dla otrzymania chleba i zupy. W r. 1884 wydało 63,377 marek na chleb i 27,759 na inne pożywienia, prócz tego 3,429 potrzebującym wydało 12,919 sztuk ubrania. Za jego również pośrednictwem 1,273 kobiet i 1,696 mężczyzn otrzymało zajęcie. Podobnie postępowało stowarzyszenie przytułków męskich; oba przytem towarzystwa wspierają się nawzajem w tem dobroczynnem dziele. Utrzymywano także stosunki z zakładami dla rekonwalescentów, domami położniczymi i dobroczynnymi zakładami, pozostającymi w zawiadywaniu ministerstwa spraw wewnętrznych i dobroczynności publicznej.

Wydatki w obu przytuliskach, jak poucza sprawozdanie, z którego czerpiemy te dane, wynosiły 43 centymów na mężczyznę i 2 franki 97 centymów na kobietę. Znaczna różnica w tych cyfrach tłomaczy się wydatkiem, jaki pociągał za sobą połączony ze stowarzyszeniem filantropijnem dom dla rekonwalescentek, wychodzących z domów położniczych.

Podobnie jak w Paryżu, przytułki nocne znajdują się w Marsylii, gdzie przyjmują bezdomnych 15 dni z rzędu, w Lyonie, gdzie przyjmują tylko trzy dni i w Clermont-Ferrand.

Dla uzupełnienia obrazu, wymienimy tu niektóre zakłady dobroczynne Paryża, wszystkie one bowiem uzupełniają się nawzajem. Biura dobroczynności Paryża rozdają rocznie 125,000 fr. niezależnie od specyalnych legatów i funduszów; w kraju bezpłatnego nauczania początkowego są tu także bezpłatne szpitale, domy położnicze i zakłady dla rekonwalescentów. Zakłady tej ostatniej kategoryi znajduje się pod Paryżem, w Vésinet, Auteuil, Vincennes. Przytułek w Auteuil (Oeuvre de l'hospitalité et du travail) służy głównie dla kobiet. Świeżo ministerstwo spraw wewnętrznych rozpoczęło budowę na Quinze-Vingts przytułek dla robotników wychodzących z zakładu dla rekonwalescentów w Vincennes, a pozbawionych pracy i mieszkania. Do tego przyłączyć należy instytucye rozdające chleb i pożywienie. Na łaknących nie zbywa.

Wymienione powyżej zakłady dobroczynne utrzymywane są częścią wo przez stowarzyszenia prywatne, częściowo zaś przez rząd i radę miejską. Ta ostatnia z początkiem roku zeszłego zajęła się żywo dziełem dobroczynności. Podniesiono wówczas projekt utworzenia nowych przytułków noclegowych, jak bowiem widzieliśmy z powyższego przedstawienia, liczba ich jest niewystarczającą. Sprawa znajduje się w jednej z komisyj, która wygotowała następujący wniosek, mający być niebawem poddany pod obrady:

„Rada — zważywszy, że każdy człowiek ma nietylko prawo, lecz i obowiązek żyć; zważywszy, że wszelkie prawo wypływa z pracy i że jej organizacya i kontrola zamiast być ciężarem, jest przeciwnie źródłem dobrobytu; z uwagi, że społeczeństwo zawładnęło ziemią oraz wszystkiem, co ona wydaje i zawiera w sobie, wskutek czego człowiek nie posiada nawet tych praw, co zwierzęta, nie może bowiem żyć z płodów natury, polowania i rybołóstwa, społeczeństwo ma przeto bezwzględny obowiązek troszczyć się o potrzeby składających je jednostek...“ Motywy te służyć będą za uzasadnienie projektu nowych przytułków noclegowych. Nie potrącamy obecnie innych projektów rady miejskiej Paryża, mających na celu dobroczynność, budowę tanich, wygodnych i hygienicznych pomieszkań, dostarczenie robotnikom pracy, oznaczenie minimum płacy zarobkowej etc. etc.

Zbliżają się wprawdzie zapusty, czytelnicy więc gotowi mi zarzucić, że przedwcześnie, zbyt „postny“ temat wybrałem do korespondencyi. Na to mogę tylko odpowiedzieć, że w Paryżu na porządku dziennym są zimna — dziś spadł śnieg obfity — i wszystko, co z nim najbliżej związane. O karnawale i tańcach nie słychać bynajmniej nad Sekwaną. Czytając dzienniki warszawskie i galicyjskie, zdaje mi się, jakobyśmy my tylko zachowali jeszcze zwyczaj zatańcowywania się w karnawał i głodenia w post. W Europie jest to już zwyczaj dawno przebrzmiały.

P.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Bach J. D. **Nowe tory.** Tarnopol, nakładem księgarni L. Gileczka. 1886.

Od lat kilku, jak śledzę ruch umysłowy w Galicyi, nie spotkałem się z książką o tak zdrowych i tak postępowych dążeniach, jak powyższa broszurka, nawołująca do reformy szkolnictwa w Galicyi. Szkoły nasze średnie, zwłaszcza gimnazya, nie odpowiadają zgoła wymaganiom etycznym, ani potrzebom praktycznego życia, ani nawet dydaktycznym celom. Pod względem poziomu oświaty wyprzedziło je społeczeństwo polskie co najmniej o ćwierć wieku, a one wloką swój żywot podług dawnej rutyny, trzymając się obrącz z zaciekłością koteryjną zaśniedziałych szablonów. W takim stanie rzeczy czego śmie pragnąć postępowy człowiek? Uwolnienie od panującej dotąd tyranii nauczania, urozmaicenie i rozbudzenie zajęcia do nauki, praktyczny pożytek obok idealnych celów, rozwój rozsądku, gospodarny rozkład czasu, baczny wzgląd na zdrowie, swobodę i wesołość ucznia — oto „nowe tory,“ na które radby pan Bach pchnąć nasze szkolnictwo. Co do sposobu wykładania przedmiotów, to jest on rzeczywiście odstraszającym w gimnazyach galicyjskich. Suchy, tabelaryczny, t. zw. gramatykalny sposób bywa dla dziecka zabójczym. Radzi go zastąpić autor metodą empiryczną a posługiwać się teoryą sokratyczną. W historyi trzeba regestr nazwisk i dat chronologicznych, całe herbaryum zdarzeń zastąpić charakterystyką epok i osób wybitniejszych, ułatwiając spamiętanie najważniejszych wypadków ilustracyami, równoległością w wykładzie dziejów i tym podobnymi pomocniczymi środkami wykształcenia. W naukach przyrodniczych stawia autor na pierwszym planie doświadczenie;

książka ma być tylko podrzędnym środkiem pomocniczym. W matematyce zaleca sposób heurystyczny, polegający na doprowadzeniu ucznia do wynajdywania twierdzeń o własnej sile. W geometryi domaga się połączenia teoryi z praktyką, stawiając za przykład ukończonego studenta, który umie najzawilsze dowody trygonometryczne, a nie jest w stanie zmierzyć najmniejszego klina łąki. W ogóle oddala szkoła od życia, zamiast do niego zbliżać, nie wychowuje, nie przysparza krajowi wykształconych, światłych obywateli, podnoszących bezpośrednio poziom narodowej pracy, ogólnego dobrobytu, lecz owszem tamuje wszelki polot ducha, zabija wszelką indywidualność i kopie przepaść między nauką a rzeczywistością.

Z drugiej strony wytyka autor przedewszystkiem zupełny brak działania na wyrobienie charakteru, obyczajności i sposobu obcowania z ludźmi — zostawiono to nauczycielowi tańców — co nader smutne pociąga za sobą skutki. W społeczeństwie galicyjskiem uczciwość i szczerość stają się coraz rzadszemi, a czcza etykieta uchodzi za dobre wychowanie. Religijności, działającej na uczucie, nie usuwa autor z planu wychowania, ale domaga się zarzucenia martwego katechizmu, a zaznajomienia uczniów z głównemi zasadami różnych wyznań, aby przełamać raz przekonanie, że cnotę i prawdę posiada jedna tylko religia, kiedy właściwie żadna nie jest wolną od bigoteryi i obłudy. Nauki klasyczne natomiast sprowadza p. B. do bardzo skromnych rozmiarów i to zupełnie słusznie. Dotychczas tyle poświęcają czasu i pracy do nauki greki i łaciny, ale czy rozmiary takich środków stoją w sprawiedliwym stosunku do rezultatu? Wykład dyktatorski należy zastąpić rozprawą i zawsze pamiętać, że szkoła nie powinna być tylko przygotowaniem do nauki, lecz głównem jej zadaniem jest przysposobienie do życia. „Dawniej — powiada autor — była szkoła turniejem retorycznym, umysłową szlifiernią, kuchnią, w której sól *atycka* najważniejszą stanowiła ingredencyę; teraz jest ona hodowlą płaskości, apatyi i flegmy. Przenikliwość i dowcip i wszystko, co się odznacza bystrością umysłu, co pokrzepia serce i pobudza fantazyę, to wszystko jest potępionem, świętokradztwem, profanującem gradus szkolny.“ Nie możemy tu w zupełności powtórzyć zdrowych i trzeźwych poglądów p. Bacha, ale radzimy każdemu przeczytać jego książeczkę, niestety, mocno zeszpeconą błędami językowemi.

B.

LITERATURA WŁOSKA.

Ugo Rabbeno. **L'evoluzione del lavoro Saggio di sociologia economica.** Turyn.

Jest to początek dopiero obszernego dzieła, w którem autor zamierza wyłożyć rozwojowe prawo, rządzące pracą tak, jak każdym innym objawem życiowym, bierze zaś za podstawę swych badań dane, dostarczone przez nauki biologiczne, antropologię, historyę, a szczególniej ekonomię polityczną. W pierwszej części, wydanej obecnie, zajmuje się pracą poza obrębem historyi, pracą samą w sobie. Nie podobna więc na podstawie początku zdać sobie sprawy z całości, której plan nakreślony jest wspaniale i ma przedstawić rozwój pracy, oraz jej zmienne warunki przez całe szeregi wieków. Jest to zadanie olbrzymie, tak olbrzymie, iż można wątpić, czy mu wydołają siły jednego człowieka, jakkolwiek Ugo Rabbeno posiada wielką erudycyę, jasność dowodzenia, a nadewszystko wyborną metodę. Kwestya pracy jest zresztą silną we Włoszech, więcej jeszcze niż wszędzie indziej, na porządku dziennym, gdyż z powodu szybkiego rozrostu przemysłu w latach ostatnich, przy braku praw ochronnych, regulujących pracę zarówno dzieci jak dorosłych, nigdzie nędza klas robotniczych nie jest tak wielką. Nie dziw więc, że oczy wszystkich ludzi myślących zwróciły się na stosunek pracy do kapitału i że książki treści ekonomicznej pojawiają się coraz częściej w ubogiej dotąd pod tym względem literaturze półwyspu.

Annibale Marazio. **La situazione finanziaria e la questione dell'agricoltura.** Turyn.

Sprawa rolna, wstrząsająca szczególniej północnemi Włochami i wywołująca w nich w roku zeszłym nieustanne rozruchy, spowodowała widocznie napisanie tej książki. Daje ona smutny obraz stanu rolników, a zarazem rolnictwa w całym kraju. W rozmaitych częściach Włoch, pomimo wielkiej różnicy, istniejącej pomiędzy prowincyami, tak długo rządzonemi odmiennie, pomimo różnego stanu oświaty, uspołecznienia, samejże kultury ziemi i jej rodzajności, panuje również przeważnie system tak zwanego „połownictwa.“ Właściciel, zamiast wydzierżawić swe ziemie za pewien czynsz roczny i zawierać długoletnie kontrakty, sprzyjające ulepszeniom, oddaje corocznie ziemię kawałkami do uprawy rolnikom, którzy ją obrabiają i obsiewają własnym kosztem, a plonem dzielą się z właścicielem. Ma się rozumieć, że przy tym systemie dzierżawca zasila rolę o tyle tylko, o ile tego wymaga jednoroczny zasiew, bo nie mając zapewnionej dalszej dzierżawy, nie ma interesu zbogacać ją na dłużej. Rolnicy są przytem tak ubodzy, iż przyjmować muszą najbardziej wygórowane wymagania właścicieli. Nie posiadają bowiem po większej części żadnego kapitału obrotowego, ale zawarłszy kontrakt, zapożyczają się natychmiast u właścicieli, którzy tę pożyczkę odbierają z lichwą, z części zbiorów przypadającej na rolników. A więc pozostawieni nadal bez sposobu utrzymania, muszą zawrzeć nowe kontrakty, by znów dostać pożyczkę—inaczej padliby ofiarą głodowej śmierci. A w tych warunkach wyzyskiwani być muszą. Właściciele zaś, pomimo wyzysku, znajdują się także obecnie w złem położeniu, z powodu zboża amerykańskiego, zalewającego rynki europejskie. Ponieważ stystem uprawy nie podnosi rodzajności ziemi, jest wiele miejscowości, których uprawa wcale się nie opłaca; stąd ogólne bankructwo, spadające całym ciężarem na klasę pracującą. Potrzeba tu zmian radykalnych. Czuje to dobrze Annibal Marazio, ale stosunki wyrobione od wieków niełatwo przemienić.

Gherardo Molmenti. **La Dogaressa di Venezia.** Turyn.

Jest to przyczynek do ważnej pracy tego autora, wydanej przed paru laty „o życiu prywatnem w dawnej rzeczypospolitej weneckiej.“ Życie to było po większej części ukryte; kobiety, a przynajmniej kobiety z arystokracyi, któremi głównie zajmuje się autor, ukazywały się tylko w czasie uroczystości; zresztą zamknięte były w swych pałacach, z których wyjeżdżały tylko w gondolach, szczelnie zakrytych. Obyczaje pod tym względem wzorowały się na Wschodzie, z którym Wenecya była w ciągłych stosunkach. Z tego powodu książka Molmentiego, chociaż zawiera niezmiernie wiele ciekawych i pracowicie zebranych szczegółów, wyczerpującą być nie może. Autor, znany krytyk, badacz i profesor literatury, poświęcił swe ostatnie studyum „Dogaressie,“ tajemniczej przyczynie, która wywołała sprzysiężenie Marina Faliera. Dowodzi on, iż obraza, wyrządzona jego małżonce, nie mogła być tutaj rzeczywistym powodem, że musiały wchodzić w grę inne okoliczności i tych poszukuje pilnie. Ostatnia Dogaressa wenecka umarła przed upadkiem rzeczypospolitej.

J. Gilbert de Winckels. **Vita di Ugo Foscolo.** Werona.

Włochy zmartwychwstałe zwracają szczególną uwagę na ludzi, którzy byli poprzedzicielami ruchu wyzwolenia; należał do nich także Hugo Foscolo, równie znamienity swym talentem, jak charakterem bez skazy. Żołnierz, poeta i powieściopisarz, wzbogacił literaturę swego kraju arcydziełami, jak „Groby.“ „Listy Jakóba Ortisa,“ tego włoskiego Werthera, patryoty, któremu głównie rozpacz za upadłą ojczyzną włożyła w rękę broń samobójczą. Rzeczywiście Hugo Foscolo żył w najsmutniejszej epoce historycznej Włoch i pracował niezmordowanie dla swego kraju, z którego musiał uciekać, szukając schronienia za granicą. Osiadł w Anglii z powodu, iż instytucye jej odpowiadały jego liberalnym przekonaniom i żył jedynie z lekcyj, oraz dziennikarskiej pracy, odrzucając dumnie wszelką obcą pomoc. Umarł po dziesięciu latach wygnania, nie doczekawszy nawet zorzy lepszej przyszłości. Włosi słusznie się nim chlubią jako człowiekiem i poetą. Listy Ortisa, oraz okoliczności, w których powstały, stanowią ciągły przedmiot studyów. Rzeczywiście okoliczności te są ciekawe i mają pewne pokrewieństwo z powstaniem Werthera, tak bowiem Foscolo, jak Göthe pobudzeni byli do napisania swej smutnej powieści samobójstwem jednego z przyjaciół. Książka Winckelsa wywołała już we Włoszech wiele krytyk, tyczących się mianowicie historyi „Listów Ortisa.“ Z powodu, iż wyszły one w parę lat po ukazaniu się Werthera, niejednokrotnie uważano je za plagiat. Foscolo jednak zarzut ten odpierał, a charakter jego nie pozwala wątpić o prawdzie słów.

M.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Najszybszy sposób zyskania sławy. — Patryota wołyński w *Schl. Zeitung* i jego program.—Nasze właściwości i brak ich w sfałszowanem pokwitowaniu. — Jak rozmyśla polak. — Cel fałszerstwa. — Odpowiedzialność ogółu za wybryki jednostek. — Zwycięzca na turnieju dramatycznym. — Ostrożnie z reklamą. — Dwa nabytki. — Tania uprawa.

Najpewniejszym sposobem zyskania natychmiastowej sławy jest wymyślenie jakiegoś olbrzymiego głupstwa. Głęboka prawda, mądra teorya, oryginalny utwór— wszystko to potrzebuje czasu dla odsłonięcia ludziom swej wielkości. Co innego kolosalna brednia — ta odrazu przedstawia im swoje rozmiary. Dlatego to historya zapisuje ciągle genialnych poetów i uczonych długo nierozumianych i nieocenionych, ale nie zna ani jednego głupca, któryby szybko nie został głośnym. Wie o tem człowiek bardzo dobrze, nieraz też z zupełną świadomością wyrzuca odrobinę rozsądku ze swej głowy, która, zamieniona tym sposobem na balon, unosi go po nad tłumy (a potem, pęknąwszy, rzuca gdziekolwiek). Byłoby to więc wypadkiem zupełnie naturalnym, gdyby na Wołyniu znalazł się istotnie jeden „patryota, który by *Schles. Ztng.* obdarzył następującym a dziś szeroko rozbieranym wysiękiem swego mózgu. „Jest to historyczną niemożliwością, ażebyśmy my (polacy) odebrali kiedykolwiek Niemcom Gdańsk, Toruń i Poznań. Prusom bylibyśmy może odebrali ziemie polskie, gdyby Napoleon III był charakterem i żołnierzem; Niemcom wszakże wziąć ich nie zdołamy. Zabierając bowiem Poznańskie, przecięlibyśmy im ściegno prawego ramienia — na co one

nigdy nie pozwolą... Niech więc ci wszyscy, którzy ze mną pragną wolnej i niepodległej ojczyzny, uznają fakty dokonane, jak je uznał zwierzchnik naszej świętej religii, mądry papież Leon XIII, gdy na stolicy męczennika, prymasa polskiego, osadził miłego Bismarkowi niemca... Skoro powoli, spokojnie i dobrowolnie cofniemy się do granicy prusko-rosyjskiej — w porównaniu z tem, co zyskamy, niewiele dusz będzie to nas kosztowało — położenie rzeczy całkiem się zmieni a gwiazda Polski zaświeci na niebie nadzieją. Propozycya wywłaszczenia, którą Bismark zrobił w parlamencie, może się okazać najlepszą usługą przyjacielską, jaką nam wyświadczono od czasów Kościuszki. Za pieniądze niemieckie nasza szlachta patryotyczna może się znowu wzmocnić w nadwiślańskich guberniach rosyjskich i w zaborze austryackim.“

Idyotyczny ten wysięk, którego dalej powtarzać nie będę, nosi tytuł: „Bismark—nadzieja Polski.“ Jak rzekłem, nie jest on nieprawdopodobnym konceptem głowy ludzkiej, a nawet naszej, która przecie lubi kołysać się w snach politycznych. A jednakże mam niezachwianą wiarę, że jakaś berlińska kwoka z biura prasowego zniosła jajko, którewy siedziała *Schles. Ztng.* i wylęgłego zeń jastrząbka puściła w świat z polską na szyi wstążeczką. *Dniewnik warszawskij*, strzelając do niego kulami ogromnego kalibru, twierdzi, że to jest niewątpliwie orzełek czysto polski, bo szybuje ku „morzu Czarnemu.“ Tego samego zapewne zdania będą również inne gazety rosyjskie, które zaczną się znęcać nad mizerakiem i wytaczać nam procesy za jego żółty dziobek, ostre szpony i — wstążeczkę. Przewidując to, zwrócę uwagę na następujące jego piórka, fałszywie zabarwione. Jest to prawdą, że polak ślepo czepia się wielkich ludzi, nawet wyraźnie mu nieprzyjaznych. Gdy raz Bismark, skończywszy gwałtowną mowę przeciwko polakom w sejmie, zbliżył się do ks. Jadżewskiego i coś mu szepnął, zaraz dyplomatyczniejsze z pism naszych podkreśliły ten fakt znaczący i dały do zrozumienia, że kanclerz niemiecki inaczej mówi głośno, a inaczej na ucho. Tymczasem wiem z bardzo dobrego źródła, że wtedy rzekł do ks. Jażdżewskiego, tłumiąc gniew: „wszystko, co pan powiedziałeś, było prostem kłamstwem.“ Ile zaś razy słyszeliśmy z różnych ust: „Kto wie! może ten Bismark...“ Pod tym względem, pod względem dziecinnego łudzenia się ojcowskimi dla nas zamiarami mężów stanu jesteśmy rzeczywiście niepoprawni; ale nigdy w tych marzeniach nie opuszcza nas fantastyczne marzycielstwo. W polaka łatwo wmówić, że prezydent Stanów Zjednoczonych ciągle myśli o nas, ale nie łatwo, że myśli tylko o podniesieniu cen naszego zboża. To za mało dla nakarmienia naszej imaginacyi. Otóż podrobiony w *Schles. Ztng.* kwit nasz nie zawiera wcale marzycielstwa, jest zimnym, handlarskim, czysto niemieckim. Fałszerz nie znał widocznie natury polskiej; gdyby znał, maczałby pióro w poezyi politycznej, nakreśliłby jakąś barwną panoramę niknących obrazów, niemożliwych do oprawienia w ramy rzeczywistości, ale zgodnych z pewną epoką historyi.

Właściwie zatem „wołyński“ program *Schles. Ztng.*, który nam radzi podziękować Prusom za „przyjacielską usługę“ i osiadłszy nad Wisłą, wbijać się klinem w Rosyę aż do „morza Czarnego,“ nasuwa takie tylko pytanie: jaki cel mogła mieć gazeta, która obsiewa codzień swą krew urzędowem powietrzem berlińskiem, w puszczeniu tego dziwoląga? Chyba ten jedynie, ażeby zbłąkać opinię niemiecką, niezbyt zachwycającą projektami rządu pruskiego, lub — co także dość prawdopodobnie wygląda — rozdrażnić rosyjską. Pierwsze gniewy tej ostatniej już się objawiły. Przyjdą jeszcze mocniejsze, przypuszczam wszakże, że krytyczniejsze dzienniki rosyjskie nie złapią się na wypchanego niemiecką szerścią „szlachcica wołyńskiego,“ który wózkiem w psa zaprzężonym z Poznańskiego ciągnie nad morze Czarne. Przed paru laty w tymże Wrocławiu kupiłem na dworcu kolei pudełko zapałek z napisem: „niech polak *szyje*.“ Miało to znaczyć: „żyje.“ Równie wiernym tłomaczem polskich uczuć jest zapustny, z nieogolonym podbródkiem i porcelanową fajką „patryota wołyński,“ który radzi poznańczykom „szyć“ zamiast „żyć.“

Opuśćmy wszakże tego „landsmana“ i zapytajmy wszystkich, którzy za nim oparli swoje poważne grozą wywody: jakim sposobem ci biedni polacy mogą się zabezpieczyć przeciwko fabrykowaniu takich bezimiennych „patryotów,“ przemawiających publicznie w ich imieniu? Wszakże każdej gazecie europejskiej wolno stworzyć sobie „wołyniaka,“ i nakłaść mu w usta bredni politycznych na nasz rachunek—a czy my jesteśmy obowiązani rachunek ten pokrywać? A co to 12 milionów ludzi obchodzi, gdyby nawet śród nich znalazł się jakiś półgłówek z ćwiekiem politycznym? Między nami żyją złodzieje, mordercy, oszuści, gwałciciele — czemuż nie mieliby żyć pod własną jedynie odpowiedzialnością wodzowie wędrówki „do morza Czarnego?“ U Bonifratrów był ongi szan. mąż, który umarł, sławiąc ideję rozpalenia wielkiego ogniska na biegunie północnym; planu swego publicznie nie wyłożył, ale gdyby go był w gazetach ogłosił, czyż całe nasze plemię musiałoby wysłuchać kazania o „fantazyach karygodnych“ i „intrydze?“ Nie wszyscy zaś waryaci siedzą u Bonifratrów: wielu chodzi swobodnie, udaje przedstawicieli myśli „zdrowej,“ pisuje do dzienników. O tem wiedzieć powinni ci, którzy nas sądzą. Może wiedzieć nie chcą? W takim razie niech się nie dziwią, że cała ich gadanina tyle nas obchodzi, ile wiatr, który nam w oczy wieje.

Podobno główny zwycięzca na turnieju dramatycznym p. S. Kozłowski w swoim *Albercie* całkiem inaczej, niż „patryota wołyński,“ traktuje niemców za „przyjacielskie usługi.“ Jak? — opowiemy, poznawszy jego utwor, który na drożdżach pochwał komitetu konkursowego rośnie tak, że niedługo Słowacki będzie z dołu zazdrośnie na jego szczyt spoglądał. Według jednego z najkompetentniejszych sędziów, ma to być istotnie poemat dramatyczny niepospolitej wartości, nie na tyle wszakże znakomity, ażeby mu nie mogła zaszkodzić przesadna — reklama. Z całego serca życzę p. Kozłowskiemu, ażeby nie padł jej ofiarą. Pamiętamy wszyscy, jak ona oddała niedźwiedzią przysługę utworowi p. H. Sienkiewicza „Na jedną kartkę,“ poprzedziwszy go fanfarą, zapowiadającą „arcydzieło“. Gdy za dymem kadzideł i hymnów pochwalnych ukazało się wreszcie to „arcydzieło,“ do wysokich wymagań nastrojeni a po za przyjacielskiem kołem stojący krytycy i widzowie teatralni oniemieli ze zdziwienia, chociaż, bądź, co bądź, mieli przed sobą owoc istotnej zdolności, a nie partactwa. A p. Sienkiewicz mógł nie dbać o nagły spadek jednego papieru, bo miał przedtem zapewniony wysoki kurs innych. Co innego talent, który po raz pierwszy występuje na literacką giełdę: taki może dużo stracić.

Nie całemu komitetowi przyznajemy tego rodzaju znawstwo, ale byli w nim ludzie, którym już dziś ufać możemy, że tegoroczny konkurs dramatyczny wyprowadził dwa talenty. Jeżeli zaś piramida nagród *jednomyślnie* tak przewróconą została wierzchołkiem na dół, że znany komedyopisarz E. Lubowski znalazł się na miejscu trzeciem, a zupełnie nieznani na pierwszem i drugiem, toć chyba muszą to być umysły znakomite. Literatura więc nasza wzbogaciła się dwiema świeżemi siłami wysokiej miary. Brawo! — na kredyt cudzego zdania. Gdy poznamy oba utwory, powtórzymy zapewne to brawo z własnego już przekonania. Jeśli tylko możni naszego świata przypuszczają, że co rok zbiorą taki plon, niech nie żałują na zasiew 1500 rs.

Tania uprawa!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Sprawa biłgorajska. — Próba zawiązania unii osobistej dwóch wyznań. — Zachęcanie do trzeźwości.— Różne sposoby obrony praw. — Krucyata przeciw skubankom. — Błogie skutki „krugowej poruki.“ — Pszenica perska.

Głośna sprawa biłgorajska, która przez kilka tygodni ciągnęła się w tutejszej Izbie sądowej, zasługuje na szczegółową ocenę. Prasa, która poświęcała dziesiątki szpalt na sprawozdania z przebiegu procesu, nie zdobyła się na żadne uwagi, chociaż mimowolnie nasuwają się one pod pióro. Na ławie oskarżonych zasiedli wszyscy prawie członkowie komisyi poborowej: naczelnik powiatu — Gurskij, lekarz — Trzciński, sekretarz — Okoński, oprócz tego pisarze gminni i faktorzy. Członek komisyi obywatel Sawicki zmarł w więzieniu, drugi zaś lekarz zbiegł, złożywszy przedtem szczere i dokładne zeznanie. Wszyscy ci panowie osobiście i przy pomocy żon, własnorącznie lub za pośrednictwem faktorów, brali łapówki od popisowych za uwolnienie ich od wojska. Łapownictwo urządzone było należycie (istniała nawet oddzielna kasa poborów) i trwało w ciągu lat kilku. Nie chodzi nam jednak o oskarżonych, ponieśli już oni zasłużoną karę, ale o tę, że tak powiem, bytową stronę procesu, którą oświetliło śledztwo sądowe. Chciałbym zgodzić się ze zdaniem p. prokuratora, który główną winę przypisywał Gurskiemu i twierdził, że on to wciągnął do występku innych oskarżonych (tak przynajmniej piszą *Kuryery*). Niestety, nie mogę jednak wytłomaczyć sobie: jakim sposobem Gurskij, człowiek mało wykształcony i zwyczajny urzędnik, wpływać mógł na ludzi młodych, materyalnie niezależnych, którzy niedawno ukończyli uniwersytet — jak np. lekarze? Tymczasem śledztwo wykryło, że nietylko Trzciński i Rewkowski brali łapówki, brał je i zmarły dr. D. i inni jeszcze lekarze, wiedzieli zaś o tem wszyscy prawie ich koledzy i pobłażliwie patrzyli na ten „nielegalny dochód.“ Doktorzy rekomendują sobie wzajemnie faktora Hercberga, jako „człowieka pewnego, zasługującego pod każdym względem na zaufanie.“ Ładnie brzmi frazes o „błocie małomiasteczkowego życia, które pochłania młode i świeże siły“ — sądzę wszakże, że młode te latorośle musiały już przedtem zgnić w środku, kiedy tak łatwo upadły w błoto.

I co tu mówić o wpływie, jaki powinna wywierać inteligencya prowincyonalna, jeżeli składa się ona z takich osobników! W Biłgoraju operowała jawnie cała banda oszustów i łapowników, gdzieindziej może tak źle nie jest, ale chociażby z korespondencyi odczytanej w sądzie widać, że i w sąsiednich miastach niektórzy lekarze np. działali w ten sam sposób. A ów obywatel, człowiek zamożny, który jednak brał udział w podziale dochodu, albo pisarz gminny, niegdyś oficyalista prywatny, wydalony za kradzież, czy to nie charakterystyczne dla stosunków naszych postacie? Działalność bandy biłgorajskiej była tak wybornie zorganizowaną, że władze sądowe z niezmierną trudnością zebrały

dowody winy. Sędzia śledczy oddany był pod tajny dozór policyi, strażnicy ziemscy towarzyszą mu w podróży po wsiach i obecnością swoją zamykają usta świadkom. Napróżno sędzia zrzeka się „współdziałania policyi,“ gorliwi strażnicy nie opuszczają go na chwilę. Protokóły śledztwa kradnie gospodarz zajazdu i odnosi je do naczelnika, potrzeba całą robotę zaczynać na nowo. Kiedy te środki nie skutkują, występuje powszechnie szanowany proboszcz i poucza sędziego śledczego o obowiązkach dobrego chrześcianina, który powinien kochać bliźnich swoich i przebaczyć im winy umyślne i nieumyślne. Ta pobłażliwość, która osłania wszelkie plugastwo, to najciemniejsza strona historyi biłgorajskiej; świadczy bowiem o zupełnym braku zmysłu moralnego nawet u tych ludzi, którzy bądź co bądź nie popełnili jeszcze występku.

Fejletonista gazety *Nowosti* przedstawił sprawę biłgorajską w formie komedyi społecznej w trzech aktach, z których ostatni rozgrywa się w sali Izby sądowej. Nie będę powtarzał dowcipnych jego uwag, ale zaznaczę tu radę, jaką daje proboszczowi biłgorajskiemu. „Szanowny kapłan — powiada on — powinien koniecznie poznać się z ojcem Melecyuszem. Ojciec Melecyusz miał teraz również nieprzyjemność i sprawa jego czeka błogosławieństwa prokuratora sądu kijowskiego. Należy dodać, że czcigodny ojciec posiada nieprzezwyciężoną skłonność do wszelkiego rodzaju umów cywilnych, zwłaszcza zaś tych, które dotyczą kredytu w ogóle, a operacyj wekslowych w szczególności.“ Dalej idzie opowiadanie o tem, jak przed dwoma laty odkryto, że ojciec Melecyusz utrzymuje lombard prywatny i pobiera tylko 4% miesięcznie. Obecnie zaś niejaki Koszyc, asesor kolegialny, oznajmił prokuratorowi, że weksle z jego podpisem wydane na imię wielebnego ojca archimandryty są sfałszowane. Szczegółowe zbadanie weksli potwierdziło prawdziwość oskarżenia i Melecyusz oddany został pod sąd. Fejletonista dodaje, że znana matka Mitrofania przysłała do nieszczęśliwej ofiary złośliwości asesora kolegialnego i grzesznej ciekawości prokuratora — telegram: „Nie trap się, nie martw i nie płacz. Napełń serce swe mądrością duchowną i miłością czystą. Mitrofania.“

Wiemy już, jaki wpływ wywierała urzędowa i prywatna inteligencya biłgorajska na okoliczną ludność; zobaczmy teraz, w jaki sposób urząd dla spraw trunkowych szerzy zasady trzeźwości w powiecie lipowieckim. Właściciel majątku pragnie znieść karczmę, podaje więc o tem zawiadomienie z prośbą, żeby nie pozwolono innym osobom otwierać szynków. Urząd podania nie przyjmuje, ponieważ nie ma przy niem marek, obywatel nakleja stęple i składa drugi raz. Wtedy odrzucają prośbę jego z tego powodu, że nie przedstawił kontraktu dzierżawnego, którego przedstawić nie mógł, ponieważ nie jest dzierżawcą, lecz właścicielem majątku. Trzecie podanie przychodzi już po niewczasie i dziś zamiast jednego szynku znajduje się we wsi kilka zakładów sprzedaży napojów. Jeżeli dodamy, że t. z. *pitiejnyja prisutstwia* utworzone zostały w celu ograniczenia pijaństwa zapomocą reglamentacyi sprzedaży trunków, zrozumiemy, że otrzeźwienie mieszkańców powiatu lipowieckiego nie prędko jeszcze nastąpi... „Skarżyć przeciw (?) nadużyciom, obrazie prawa, pokrzywdzeniu słuszności jest obowiązkiem każdego, nietylko już ze względu na interes osobisty, ale w imię sprawiedliwości, której uwłaczanie przynosi zawsze szkodę ogółowi“ — woła patetycznie *Korespondent płocki*, twierdząc, że obowiązkiem każdego obywatela kraju, czytaj obowatela ziemskiego, jest obrona swych praw, które często naruszają postanowienia zebrań gminnych. Nie wiem, jaka pobudka skłoniła organ płocki do tego odważnego wystąpienia. Sądzę jednak, że chodzi tu zapewne o zamianę szkółek wiejskich na gminne, ponieważ przed tygodniem czytałem w *Korespondencie* artykuł, dowodzący, że zamiana ta jest bezprawną. Nie czytuję *Gazety kieleckiej*, nie wiem więc, co ona radzi, ale sądzę, że to samo i tak samo odwołuje się do obywatelskich uczuć, ponieważ w powiecie miechowskim wszystkie prawie zebrania gminne postanowiły dokonać zaznaczonej powyżej zamiany i wszyscy prawie obywatele wiejscy zaprotestowali przeciw tej uchwale. Czytelnicy miejscy potrzebują zapewne objaśnienia tej niezwykłej u nas jednomyślności. Otóż szkółki wiejskie utrzymują tylko włościanie, podówczas gdy na szkółki gminne płacą składkę wszyscy mieszkańcy. Wprawdzie o oświacie ludu wszyscy mniej więcej mamy jednakowe przekonanie i rozumiemy jej potrzebę, ale ten obowiązek patryotyczny rozłożony na morgi nie każdemu uśmiecha się w praktyce. Wobec nowej składki milkną frazesy o przodownictwie i ofiarności, natomiast występuje bez osłonek zwyczajne samolubstwo z argumentem, że na utrzymanie szkoły powinien płacić ten, kto z niej korzysta. Ale rozumowanie takie nie wytrzymuje krytyki, większość mieszkańców gminy pragnie mieć szkołę, nikt zaś nie broni właścicielowi ziemskiemu posyłać do niej swych dzieci. Jeżeli nie chce korzystać z przysługującego mu prawa, to nie uwalnia go to wcale od płacenia składki na rzecz instytucyi ogólnego pożytku. I ja np. płacę na utrzymanie policyi, która broni spokoju i mienia obywateli, chociaż osobiście z usług jej nie korzystam wcale: nikt bowiem nie nastaje na moje bezpieczeństwo i nie pożąda mej chudoby. Podatki pobierane od ludzi zamożnych nie wystarczyłyby na utrzymanie tych instytucyj, które wyłącznie służą interesom klas uprzywilejowanych. Na gimnazya, uniwersytety, politechniki itd. idą także pieniądze chłopskie, chociaż dzieci chłopskie wyjątkowo chyba uczą się w tych zakładach.

Lękam się, czy gorliwi obrońcy sprawiedliwości społecznej nie wystąpią również przeciw uchwale mieszkańców Parysowa, którzy przeznaczyli rocznie 20 rs. z funduszów gminnych na zakup książek i prenumeratę pism ludowych. Chyba tylko szczupłość tej sumy powstrzyma wybuch słusznego oburzenia.

Podoba im się za to bez wątpienia uchwała włościan z Budziszewa, zabraniająca muzyce grać w karczmie w święta i niedziele, bo panowie, którzy sami lubią bawić się, pragną nieraz z chłopów zrobić jakichś ascetów. Księża także piorunują przeciw „dyabelskim igrzyskom,“ nic więc dziwnego, że naiwny korespondent *Gazety świątecznej* cieszy się, „że odtąd w karczmie muzyka nie grywa, dzieci nasze z czeladzią siedzą w domu i mamy spokój,“ dawniej zaś „chociaż nie przychodziło do większego gruchu, nie obywało się bez żartów i śpiewek nieprzyzwoitych, bez popychania się skubanek.“ Zapewne, że ta ostatnia czynność nie jest ani jedyną, ani też zbyt delikatną formą objawiania uczuć miłosnych, ale ponieważ zakaz tańców nie osłabi chyba popędów płciowych, sądzę, że młodzież wiejska nie wyrzeknie się „skubanki,“ dopóki nie nauczy się wyrażać swych zapałów inaczej, niż zapomocą metody pogłodowej. Nie jestem patentowanym znawcą tego rodzaju stosunków, ale, o ile szczupły zasób spostrzeżeń pozwala mi sądzić, mniemam, że nawet warstwy bardziej ucywilizowane nie pozbyły się jeszcze zwyczaju objawiania uczuć w sposób mniej lub więcej dotykalny. Może zresztą surowy redaktor *Gazety świątecznej* stanowi pod tym względem godny naśladowania wyjątek.

Dzielnie broni swoich praw pewien obywatel w Grojeckiem, który w ciągu dziesięciu lat zapisywał skrzętnie szkody czynione przez bydło włościańskie, teraz zaś zsumował rachunki, wystąpił z pretensyą do sądu, wygrał sprawę i dzięki cywilizacyjnej zasadzie „krugowej poruki,“ wytrwale szczepionej na naszym barbarzyńskim gruncie, pozyskał wyrok przyznający mu 4,000 rs. z solidarną odpowiedzialnością wszystkich pozwanych. Obywatel wybrał 11 włościan, których grunta sąsiadowały z polami dworskiemi, wystawił gospodarstwa te na licytacyę i kupił przez podstawione osoby za 3,000 rs., chociaż właściwa wartość ziemi i budynków przewyższa tę sumę. *Warszawskij Dniewnik* pisząc o tem, zaznacza, że wyrok sądu wydany został wbrew wyraźnemu brzmieniu prawa, ale musi być utrzymany, ponieważ włościanie przepuścili czas wyznaczony na podanie skargi kasacyjnej. Na szczęście można było jeszcze unieważnić sprzedaż, ponieważ osoby, które kupiły grunty, nie miały na to prawa, jako nienależące do stanu włościańskiego. Gdyby nie owa bezprawnie zastosowana solidarność, każda osada musiałaby zapłacić około 80 rubli. teraz zaś wierzyciel wybierać może ofiary według upodobania lub widoków zysku i zrujnować kilka lub kilkanaście rodzin. Czy i taki sposób obrony słusznych praw zasługuje na oznakę honorową „cnoty obywatelskiej?“

W ostatnich czasach doznaliśmy wielu niespodzianek, ale żadna nie była przyjemną; nie różni się niczem od nich i ta, którą zaznaczam. *Dziennik łódzki* donosi, że na targu miejscowym zjawiła się mąka z pszenicy... perskiej. Tymczasem w zeszłym tygodniu jeszcze czytałem, że pomimo konkurencyi amerykańskiej jesteśmy śpichrzem dla znacznej części Europy.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Petersburskija Wiedomosti pomieszczają ciekawą korespondencyę: *Z nad brzegów Wisły*, z której podajemy kilka ustępów:

„Kiedy w naszej prasie stołecznej poczęto mówić o zawistnych nam żywiołach polskich, niedawno upowszechniło się przekonanie, że nasi polacy nie stanowią tej „ciemnej“ siły, co zakordonowi. Tam, za kordonem — mówiono — może się i znajdą jakieś wyrodki, przywłaszczające sobie rolę „rządu narodowego,“ który poszedł faktycznie *ad patres*. Za kordonem istnieje prasa i patryotyzm marzący o odbudowaniu Polski od morza do morza z r. 1772; ale nasi, w granicach Rosyi żyjący polacy, to naród spokojny, co najwyżej z panem Spasowiczem wzdychający za „złotą przeszłością ojczyzny,“ jak szwedzi, hiszpanie *e tutti quanti*, co niegdyś mieli hegemonię w Europie i czują, że do niej nie wrócą.

Przyjemnie, rozumie się, zawsze słyszeć te miodowe słowa, choć my, rosyanie, miodu jeszcze jakoś nie pijemy... W rzeczy samej można powiedzieć, że dziś w kraju Przywiślańskim wszędzie panuje spokój, że burzą się tylko w Krakowie i we Lwowie. Byłoby jednak wielkim błędem z pozorów tych sądzić, że umysły naszych polaków są spokojne, a serca przejęte dla nas sympatyą. Idą one, rwą się za swoją inteligencyą, a ta ogłasza się za „ideą jagiellońską...“ Prawda, że gładko i spokojnie na wierzchu, ale rosyjski człowiek zawsze odgadnie pewne falowanie pod spodem. Z pod tej gładkiej powierzchni wychylają się czasem tu i owdzie zdźbła błota, niby ze szczelin wulkanicznych, pękających coraz w innem miejscu i znikających tak szybko, że trzebaby fotografa rewolwerowego, aby mógł je pochwycić. Jeżeli jednak są takie aparaty błyskawiczne dla zjawisk przyrody, nie wynaleziono jeszcze podobnego dla zjawisk zachodzących w polskiej „partyi czynu.“

Polskie dzienniki zakordonowe drukują się za granicą. Kto jednak im pomaga, kto dostarcza najpoczytniejszego materyału? Warszawscy korespondenci, warszawscy literaci. Kto posyła

tym pismom nasze rosyjskie tajemnice, jeżeli nie stanu, to kancelaryi? Kto wymyśla różne brednie? Niestety! rosyjscy poddani polskiego pochodzenia. Są oni wszędzie, i wśród obywateli i mieszczan spokojnych, szyjących buty lub wypiekających placki, wśród urzędników, adwokatów, sędziów, nauczycieli ludowych itd. O księżach, rozumie się, literatach i innych tytułowanych synach ziemi polskiej, już nie ma co i mówić. I wszyscy ci ludzie są gotowi raczej przejechać się kiedy do nieponętnej, „dalekiej“ krainy, aniżeli porzucić rolę surowych Katonów i lichych Tyrsytów w wewnętrznej polityce Królestwa Polskiego. Przejęci urojonemi, niemożliwemi teoryami, innych wloką za sobą,

W ostatnim procesie politycznym w cytadeli warszawskiej, na ławkach przeznaczonych dla publiczności było tylko 16 osób i już nikogo oprócz sędziów, podsądnych i adwokatów. A jednak w *Czasie* ukazało się sprawozdanie pełne najdrobniejszych szczegółów. W tymże *Czasie* drukują się obecnie zmyślone relacye jakiejś „baronowej“ o „towarzystwie warszawskiem.“ Boże! Czegóż tam nie wypisuje oryginalna autorka, nieumiejąca jednak ukryć się ze swym grubym głosem i wąsami! „Baronowa“ zdradza się na każdym kroku i dziesięć fejletonów umieszczonych w poważnem piśmie krakowskiem, to paszkwil ostatniego rzędu.

Spojrzyjcie dokoła, przyjrzyjcie się faktom z codziennego życia Warszawy, a co krok ujrzycie objawy zawiści i niezadowolenia. Grzebią przełożoną gimnazyum żeńskiego, rosyankę, prawosławną. Uczennice idą na sam cmentarz, parami, z obowiązku, ale tylko żydówki niosą wieńce przed trumną. Przyjeżdżają artyści rosyjscy. Nie pokłonili się *Kuryerom*, nie nauczyli się kilku słów polskich na okaz—na przedstawieniu pustki.

Wszystko to drobnostki, ale dotkliwe. I jeszcze jedno. W uniwersytecie przegłosowano (26 gałek przeciw 24) profesora dra Baranowskiego, który przesłużył lat 25. Rzecz zwykła, ale sprawiła wrażenie. Baranowski jest luminarzem. Wezwany przed kilku laty do sądu okręgowego w charakterze świadka, na zapytanie przewodniczącego odpowiedział, że prawo pozwala mu dawać zeznania przy pomocy tłumacza... Tymczasem w uniwersytecie wszyscy wykładają po rosyjsku.“

Ten sam korespondent *Petersburskich Wiedomosti* przenosi się lotem ptaka nad brzegi Wilii i tak pisze:

„Teraźniejsze katolickie Wilno jest niezadowolone z J. S. Kochanowa. Głównie są niekontenci, że go nie udaje im się zrozumieć. Jest on zagadką dla nich, sfinksem, a jest groźny, jako niezłomny wykonawca raz nakreślonego programu.“

Wiemy — powiadają — do jakiego celu dąży generał Kochanow, ale nie wiemy, jakich użyje środków bodaj jutro.

Zresztą, nic dziwnego, że J. S. Kochanow zdumiewa polaków swą energią. Dość wspomnieć, że kiedy niegdyś hr. Albedyński dowiedział się, że w gubernii piotrkowskiej w sposób święty i niewzruszony przestrzegane są przez J. Kochanowa przepisy o stosunku procentowym urzędników polskich, to zawołał;

— A ja nie mogę dobić się tego w Warszawie!

Prasa nasza komentowała w swoim czasie godną uwagi mowę generała Kochanowa, kiedy ten otrzymał smutny spadek po hr. Totlebenie. Wszyscy wileńczycy dobrze ją pamiętają. Liczne i świetne zgromadzenie wyczekiwało w sali pałacowej pojawienia się nowego generał-gubernatora różnemi przejęte uczuciami, ale nikt nie przypuszczał, żeby dawny, tak skromny gubernator piotrkowski nie zmieszał się wobec tego grona wypieszczonego przez Potapowa. Przedewszystkiem liczono na „nią,“ na „boginię Wilna,“ błyszczącą kometę, ciągnącą za sobą długi ogon sług oddanych sobie. „Bogini“ także przekonana była o zupełnem zwycięstwie i bawiła się obojętnie kosztownym wachlarzem, nie patrząc na nikogo, lecz widząc, że oczy wszystkich na nią zwrócone...

Generał wszedł szybko, jak człowiek czynu, który nie ma czasu na drobnostki. Pierwsze spojrzenie jego padło na „boginię“ i na jego ustach zjawił się uśmiech zagadkowy. On dawno już słyszał o tej „złotej kolasie“ Wilna.

Arystokracya wileńska mogła przypuścić prędzej, że pułap salonu się zawali, aniżeli, że usłyszy to, co powiedział generał Kochanow. Powiedział ze dwadzieścia słów i wszyscy nierosyjscy wileńczycy zrozumieli, że to przegrana. „Ona“ została zmiażdżona temi niewielu słowy, wygłoszonemi przytem z ogromnym talentem krasomówczym.

Pozostawał szereg figur, na których twarzach widniało poddanie się z pokorą losowi. Generał i z niemi od razu skończył:

— W sprawach czysto kościelnych —rzekł— będę waszym pomocnikiem i opiekunem. Ale jeżeli do imienia religii przyczepicie propagandę katolicką, to strzeżcie się, panowie.

Był to ciężki dzień dla wileńskich polaków — mówił mi pewien szanowny pedagog. Dawniej w oknach księgarni Orzeszkowej można było widzieć wszelkie podejrzane wydawnictwa, poczynając od portretów Kościuszki, ozdobionych różnemi godłami „sprawy,“ a skończywszy na najmożliwszych broszurach krakowskich. Ale w dwie godziny po mowie generała wszystkie te „zabawki“ dla dorosłych były sprzątnięte i schowane głęboko. Czasy się zmieniły.“

Ruskij Kurjer pisze:

„Nie ma w tem nic dziwnego, że „polityka krwi i żelaza“ księcia Bismarka na szowinistów niemieckich wywarła do pewnego stopnia przyjemne wrażenie; i książe, jak wiadomo, za to zaszczycony został od wielu pochlebną pochwałą, jakoby za „energiczny sposób działania w interesach narodowości niemieckiej;“ lecz wyraźnym absurdem są pochwały tej polityki, wychodzące z pośrodka samych nieszczęśliwych słowian, przeciw którym praktykuje się ta polityka „krwi i żelaza.“

Ostatnia ta okoliczność wydawać się nawet może nieprawdziwą, gdyby na nieszczęście i hańbę całej Słowiańszczyzny, istotnie nie miała ona miejsca. Pod tym względem odznaczyli się i zupełnie niewłaściwie i niespodziewanie dla wszystkich, w osobach swych przedstawicieli (czy czasem nie są oni podkupieni lub podstawieni) rusini haliccy, mieszkający w Galicyi, którzy posłali pochwalny telegram do ks. Bismarka, zapewniając go o tem, że jego polityka, walcząc przeciw zburzeniu „jedynej polskiej idei państwowej“ dopomaga jakoby galicyanom do osiągnięcia ich narodowego celu.

Grzechem jest cieszyć się z biednego i nieszczęśliwego położenia swojego brata i dążyć bądź co bądź do zbudowania swego wrzekomego szczęścia na jego gorzkich losach i jego upadku zupełnym! Jest to nawet wysoce niemoralnem! „Nie kop dołków pod drugim, bo sam w nie wpadniesz! — powiemy w formie lekcyi naszym braciom haliczanom.“

Kijewlanin zadaje sobie pytanie:

„W jakiem położeniu znajduje się obecnie idea polska rewolucyjna, zarówno w Rosyi, jak i w innych państwach europejskich, oraz czego po niej należy oczekiwać w przyszłości?“

i tak odpowiada:

„Wiekuiste niezadowolenie polaków, wieczne skargi na losy, szalone marzenia i nadzieje wdnieją we wszystkich przejawach życia Polski. Wina to warunków, w jakich wzrastają młode pokolenia, ćwiczone w szkole jezuickiej, gdzie gwałcone są wszystkie zasady moralne i duchowe. Weszło to już w krew i ciało społecznej myśli polskiej, a prasa polska wymyśliła i wyrobiła takie praktyki, takie sposoby oszustwa, że trudno tam dopatrzeć jak wygląda rzeczywistość. Społeczeństwo, którego członkowie z mlekiem matki wysysają zarazę, jest bez wątpienia najskłonniejsze do choroby. To, co w społeczeństwie rosyjskiem *było* powierzchowną zarazą i nie znalazło dla siebie dostatecznego gruntu ani w wyższych warstwach społecznych, ani tembardziej wśród mas, to co u nas bałamuciło tylko wyrzutków społecznych — w polskiem społeczeństwie ogarnia najlepsze siły, przenika umysły najpierwszych przedstawicieli myśli polskiej. Co u nas chwytało się niedojrzałej młodzieży tylko, w Polsce, jak to dowiódł Kraszewski, i starców sięga, mądrych doświadczeniem.

Z uwagi na powyższe dane nie podobna wstrzymać się od obawy, aby Polska nie stała się międzynarodowem ogniskiem rewolucyjnego socyalizmu.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Plagiat. W piśmie petersburskiem „Kołosja“ (nr. 11) pomieszczona komedya w 3 akt. p. t. „Denieżnyje tuzy“ jest dosłownem tłomaczeniem komedyi Bałuckiego „Grube ryby.“

Mianowania. Widocznie dla towarzystwa z „pułkownikiem“ Rogozińskim, *Kuryery* podając nazwiska prelegentów na dochód Kasy Mianowskiego, przyznały aż czterem znakomitościom miejscowym, nieposiadającym nawet stopni naukowych, tytuł profesora. Ciekawa rzecz jak należy nazywać profesorów prawdziwych. Nadewszystko zaś, po co ta mania tytulacyi?

Program odczytów dla rzemieślników został już opracowany przez Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, które wybrawszy tematy szuka teraz dopiero prelegentów. Trudno jednak przypuścić, żeby znalazło odpowiednich, bo żaden człowiek rozumny i dbały o godność własną nie pozwoli narzucić sobie tematu, zwłaszcza że Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu nie jest przecie jakąś powagą w sprawach społecznych i ekonomicznych.

Jeszcze projekt. *Braunschweiger Landes-Zeitung* zupełnie poważnie żąda zakazu tłomaczenia utworów polskich na język niemiecki, ponieważ w ostatnich czasach liczba tego rodzaju przekładów zwiększyła się znacznie, wskutek czego szkodliwe i przewrotne zasady rozszerzają się w Niemczech.

Pan Tadeusz Mickiewicza wyszedł w przekładzie hiszpańskim dokonanym przez Leona Mendeza.

Prasa rosyjska. P. Szarapow współpracownik Rusi i autor głośnej broszury, z której zdawaliśmy sprawę, wydawać zaczyna pismo tygodniowe p. t. *Russkoje Dieło.*

Taksa aptekarska ma być znacznie obniżoną, ceny lekarstw normować się będą rozmaicie w różnych miejscowościach państwa.

Odznaczenie. P. Bolesław Wydżga student instytututu w Puławach, otrzymał złoty medal za rozprawę p. t. „O zastosowaniu nawozów sztucznych przy uprawie buraków.

Zapis L. Kociołkiewicza, w kwocie 60,000 rs. na budowę nowego domu dla podrzutków przyjęty został przez Radę miejską dobroczynności publicznej.

Majoraty. W Królestwie znajduje się obecnie 256 majoratów należących do rosyan, z tej liczby 129 utworzono już po 1863 r.

Pożyczka Towarzystwa Kredytowego ziemskiego wynosi obecnie 102,150,915 rs., obciąża ona 7,757 dóbr. Z powodu zaległości w opłacie raty wystawiono na pierwszą sprzedaż 3.071 majątków, t. j. około 40%. Kapitał rezerwowy Towarzystwa równa się 6,129,054 rubli.

Amatorzy. Pp. Jan Batun i Aleksander Sokołow redaktorowie czasopism rosyjskich *Kołosja* i *Sufler*, wychodzących bez cenzury, zwrócili się do wydziału prasy z prośbą, ażeby wydawnictwa ich poddano cenzurze.

Naśladowanie. *Moskowskija Wiedomosti* radzą, żeby za przykładem danym przez Bismarka, zabronić urzędnikom a zwłaszcza oficerom rosyanom żenić się z polkami.

Antologia miłości. Poeta włoski Canini wydał w Wenecyi zbiór utworów poetycznych o miłości pt.: *Libro del amore.* W książce tej znajdują się przekłady z 24 języków (Canino jest znanym polyglottą), między innymi i z polskiego.

Germanizacya. Koloniści niemieccy w gubernii lubelskiej ponadawali nowo założonym koloniom nazwy niemieckie, w wielu zaś wypadkach przemienili nawet stare nazwy. Obecnie z polecenia p. generał-gubernatora władze miejscowe zająć się powinny przywróceniem nomenklatur prawnych. Przy sposobności dodajemy, że w jednym tylko powiecie chełmskim do roku 1882 niemcy założyli 92 posiadłości: 8 folwarków, 60 kolonij czysto niemieckich i 24 mieszanych.

Szkoły na Szląsku. Szląsk posiada obecnie 4,156 szkół ludowych, 2,309 ewangelickich i 1,847 katolickich, podówczas kiedy uczniów katolików jest 362,000, protestantów zaś 316,000.

Tyfus głodowy szerzy się w Prusach zachodnich, wiele szkół zamknięto. W powiecie kwidzyńskim, jak podaje *Germania*, wymarła czwarta część ludności.

Statystyka. Liczba robotników w Warszawie, według wykazu sporządzonego przez wydział adresowy, wynosi obecnie 50,836, t. j. krajowców 48,146 i cudzoziemców 2,690.

Zmarli. Prof. Teschenberg, więcej znany jako dyplomata i dziennikarz, aniżeli jako uczony.

— Józef Głębocki, kapitan b. wojsk polskich, autor wielu dzieł o rzeczach wojskowych.

— Aleksander Kamiński, malarz b. profesor szkoły sztuk pięknych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Zdz. z Puł. „Ojciec Makary“ wyczerpany; również nr. 6 prac S. n.; natomiast może Pan dostać za naszem pośrednictwem n-ry: 3 (k. 60) i 7 (po k. 40 — na przesyłkę k. 30); nr. 8 w księgarni Gruszeckiego, nr. 2 (jeśli jest) w kwartalniku „Kłosów“ (s. II).

P. A. Gold. Możemy Panu odpowiedniego wskazać.

P. E. Kr. w S. Czemu Pan czytał nasze słowa inaczej, niż one były wydrukowane? Właśnie w tej samej Austryi, gdzie lekceważymy rusinów, bułgarów, czechów itd., a bodaj przed kelnerem popisujemy się z niemczyzną, należałoby pomyśleć o słowianizacyi.

P. Ek. w Olszanie. Za co nam Pan wypisał dwie stronice wymówek, skoro *wszystkie* żądania pańskie spełniliśmy, doprawdy nie pojmujemy. Wątpliwość nasza pochodziła stąd, że Pan nie podał stacyi pocztowej i że prenumerujący nie u nas, nie do nas z reklamacyami zwracać się powinni.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. J. K. rs. 1 kop. 40. Mikosza z Nowogrodu rs. 2 kop. 65.

Dla studentów uniwersytetu warszawskiego. Bezimienny rs. 3.

Dla nędzy wyjątkowej. Od Ireny rs. 4.

Dla pogorzelców Grodna. Z. i L. z Niemirowa rs. 1. G. Iwanowski kop. 50.

Dla polaków wydalonych z Prus. Kłopotowski z Charkowa rs. 5. Farmaceuci z Kijowa za pośrednictwem J. niszewskiego rs. 15.

Do rozporządzenia redakcyi. U. D. N. rs. 20.

Uwaga. Możnych a miłosiernych upraszamy o pomoc dla kilku uczniów gimnazyum, niemających czem opłacić wpisów.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 20 lutego.

Dwa listy pasterskie ks. biskupa Pełesza i wypowiedziane w nich poglądy na sprawy rusińskie.

Jeszcze z końcem ubiegłego roku napisane, teraz dopiero wyszły w druku dwa listy pasterskie pierwszego biskupa stanisławowskiego, ks. Juliana Pełesza, jeden do duchowieństwa, drugi do świeckich wiernych nowej dyecezyi. Są to dokumenty ważne nie tyle same przez się, ile przez szczególny zbieg okoliczności, o których pisałom poprzednio, przez to mianowicie, że autorem ich jest ten sam biskup, który wygłosił pamiętną mowę „programową“ w lwowskim sejmie i pociągnął za sobą odrazu całe stronnictwo galicyjskich rusinów, t. zw. „narodowców.“ Odkąd organ tego stronnictwa, *Diło* wyraźnie i bez zastrzeżeń przyznało się do solidarności z g.em ks. Pełesza, od tej chwili każde wystąpienie tego ostatniego, tak lub inaczej dotykające rusińskich kwestyj ~~programo~~wych, musi być traktowaną jako rzecz ważna i polityczna, bodaj o tyle, o ile „narodowcy“ są w Falicyi siłą polityczną.

W pierwszym liście, zwracając się do wiernych świeckich swej dyecezyi, ks. Pełesz pisze: „Uroczyście przed ludźmi i Bogiem oświadczamy, że jak nigdy nie wyczerpią się bystre i czyste fale złotej Bystrzycy, Pruta i Czeremosza, jak nigdy nie zmienią swego miejsca niebotyczne góry Beskidu, tak nasza wierność i uległość, wdzięczność i przywiązanie do przesławnych i najświatlejszych tronów rzymskiego i austryackiego nigdy nie osłabnie i nie zmieni się.“ Jest to dobitne powtórzenie zasad, wypowiedzianych przez ks. Pełesza jeszcze w przedmdcie do jego „Historyi Unii“ i w mowie sejmowej. Myśli te szerzej i kategorycznie wykłada biskup na str. 17—18, bezprzecznie najważniejszej w całym liście. „Niech to, że jesteście członkami św. kościoła, że jesteście katolikami, będzie waszym największym zaszczytem, waszą sławą. Waszem najwyższym pasterzem na ziemi jest papież rzymski; bądźcież mu wierni i słuchajcie chętnie, co wam przez swych księży nakazuje. Bądźcie też wiernymi poddanymi naszego najmiłościwszego cesarza, któremu my rusini tak wiele dobrodziejstw zawdzięczamy.“

A więc w programie ks. Pełesza ani słowa o jakiemś autonomicznem stanowisku cerkwi rusińskiej, jak tego by wymagała sama istota unii; niema też wzmianki o tem, że Austrya jest państwem konstytucyjnem, że więc obok uległości monarsze mają rusini nietylko korzystać z praw konstytucyą nadanych, ale w danym razie także ich bronić. Nie do *obywateli* konstytucyjnego państwa, lecz do *wiernych poddanych* odzywa się ks. Pełesz, jak za dobrych dawnych czasów przed r. 1848!

Wreszcie przy końcu swego listu potrąca i o *trzeci* punkt programowy — o narodowość. Wyraźnie mówię *trzeci*, bo we wszystkich oświadczeniach ks. Pełesza narodowość zawsze stoi na tem miejscu. „Kochajcie — upomina on i teraz swych dyecezyan — szanujcie i zachowujcie wiernie i szczerze wasz obrządek i rusińską (małoruską) narodowość; cenicie rusińską narodowość i rusiński język, który macie od Boga i który jest naszym wspólnym skarbem narodowym. Lecz kochając i ochraniając swoje, szanujcie przy tem także i cudze, pamiętając, że wszyscy *katolicy* bez względu na to, czy rusińskiej, polskiej lub innej narodowości, są dziećmi tego samego katolickiego kościoła, na czele którego z woli bożej stoi papież rzymski; pamiętając również, że wszyscy obywatele naszego kraju i całej monarchii austryackiej są dziećmi i poddanymi tego samego austryackiego cesarza.“

Oto narodowy program nowego biskupa, ten sam, na który tak skwapliwie podpisali się rusińscy narodowcy. Bądźcie rusinami o tyle tylko, o ile wam na to pozwala wasz katolicki zelotyzm i austryacka dynastya — napomina ks. Pełesz; szanujcie i kochajcie innych, o ile oni są katolikami i austryakami! A więc o Rusi zakordonowej, prawosławnej i protestanckiej — ani słowa! Narodowość zupełnie zidentyfikowana z obrzędem religijnym!

Nie dość na tem. W drugim liście pasterskim, skierowanym do księży swej dyecezyi, ks. Pełesz otwarcie występuje przeciw *nadmiernemu rusińskiemu patryotyzmowi* swych podwładnych. „Uśmierzcie wasz narodowy zapał, wasze narodowe dążności, by nie naruszać miłości chrześciańskiej!“ Oto dewiza, pod którą dobrowolnie stanęli nasi narodowcy i pod którą przyrzekli w *Dile* rozpocząć energiczną i pozytywną (?) pracę we wszystkich trzech kierunkach.

I. Franko.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Redakcya PRAWDY zawarła umowę z p. K. Bartoszewiczem, na mocy której tanie jego wydawnictwo dzieł pisarzów polskich otrzymywać mogą nasi prenumeratorowie po nadzwyczaj zniżonej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N. Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego (4 tomy), Ignacego Krasickiego (5 tomów) Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. — odstępuje p. B. dla naszych prenumeratorów za 5 rs., czyli że tom tego wydawnictwa (280—330 str. druku) wypadnie za 33 kop.

Abonenci z prowincyi zechcą dołączyć na koszta przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Administracyi:

Dzieła J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop.

Dzieła Ign. Krasickiego za 2 rs.

kładający się z sześciu arkuszy druku.

Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Февраля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.